ARSZAWA
ROK IV

CZERWIEC–LIPIEC

Nr 5–6

warszawski miesięcznik społeczno literacki

LEWY TOR

Cena Numeru 15 zł

TREŚĆ NUMERU

Str.

STEFAN MATUSZEWSKI — Układ sił politycznych w Polsce 3

ST. A. MAJEWSKI — Problematyka rewolucji w świetle doświadczeń historycznych 4

T. ŚWIECKI — Zakłamanie burżuazyjnej moralności . . 16

WACŁAW BIELECKI — Niema mglistych Londynów — Londyn jest tylko jeden 21

ZYGMUNT MŁYNARSKI — Szlakiem hańby i zdrady narodu 33

WŁADYSŁAW PIOTROWSKI — Przeżycia i wspomnienia partyzanta 36

MICHAIŁ SZOŁOCHOW — Oni walczyli za Ojczyznę . . 50

Zeznanie zbrodniarza 59

STEFAN MATUSZEWSKI

Układ sił politycznych w Polsce

Typ państwa ludowego, jakim jest Polska powojenna, nie miał dotychczas precedensu ani w historii naszego kraju, ani w historii innych krajów.

Jeżeli chodzi o kraje powojennej Europy, to narzuca się pewna **analogia z Jugosławią;** jest bowiem niewątpliwe podobieństwo w ustroju gospodarczym i politycznym między obu krajami. Jednakże struktura gospodarcza naszego kraju z bogatymi ośrodkami przemysłowymi stwarza naturalne różnice, które, niezależnie od podobnych form gospodarki, decydują o nieco odrębnym obliczu społecznym przynajmniej w chwili obecnej. Różnice w układzie politycznym Polski i Jugosławii mają również swoje uzasadnienie w odrębnej historii obu krajów.

Aby zdać sobie sprawę z układu sił politycznych, wysuwających się na czoło naszego życia wewnętrznego, należy przede wszystkim zastanowić się nad strukturą gospodarczą Polski. Na skutek przeprowadzonych reform społecznych, dokonane zostały przeobrażenia w całokształcie naszej gospodarki. **Powstały u nas trzy podstawowe sektory gospodarcze: państwowy, społeczny i prywatny,** przyczem decydujący wpływ i znaczenie ma sektor państwowy na skutek unarodowienia podstawowych gałęzi produkcji.

Do zakresu **gospodarki państwowej** wchodzą bowiem operacje finansowe w kraju i zagranicą, wchodzi cały transport kolejowy, rzeczny i morski, monopole, kopalnie węgla, rud i rafineria gazów palnych, wszystkie huty, fabryki i zakłady pracy, zatrudniające ponad 50 robotników na jedną zmianę. Gospodarka państwowa lub społeczna obejmuje pewien procent ziemi ornej i domów mieszkalnych, prawie wszystkie zakłady szkolne, do-

my kultury, teatry, kina, ośrodki wypoczynku i zdrowia — słowem podstawowa gospodarka przemysłowo-transportowa, kulturalna i część handlowej oraz rolnej znajduje się w rękach państwa lub organizacji społecznych. Stanowi to wielkie źródło dochodu społecznego i daje pole do planowego wykorzystania zasobów gospodarczych i kulturalnych naszego państwa.

Nie małą rolę odgrywa również w Polsce **sektor prywatny.** Prywatna własność na ziemię do 50 hektarów, na posiadłości miejskie, czy to w postaci domów czy sklepów lub przedsiębiorstw, zatrudniających do 50 robotników na jedną zmianę, szeroka sieć wolnych zawodów oraz rzemiosła prywatnego, rozmaitego rodzaju warsztaty i handel — stanowią wielką bazę dla inicjatywy prywatnej i jednocześnie dla zróżniczkowania się społeczeństwa w sensie klasowym. Jest więc w Polsce bogaty wachlarz gospodarczy i wszelka zdrowa inicjatywa znajduje poparcie w samej strukturze naszego państwa.

Z tej sytuacji gospodarczej wynika różnorodność zainteresowań społecznych i politycznych. **Jeśli jest w Polsce miejsce na tak różnorodne formy gospodarcze, to siłą rzeczy mają i muszą mieć pole do działania różne kierunki polityczne odpowiadające tym właśnie sektorom gospodarczym.** Dlatego jest w Polsce miejsce dla szeregu partii politycznych, reprezentujących poszczególne grupy czy warstwy społeczne.

Jest więc w Polsce pole dla partii jednoczącej robotników i inteligencję zatrudnioną we wszystkich zakładach pracy czy to państwowych, społecznych lub prywatnych. Jest pole dla partii chłopów pracujących na własnej roli, dla partii rzemieślników i ludzi wolnych zawodów — pracujących we własnych warsztatach, jest pole dla organizacji politycznej, reprezentującej interesy prywatnego przedsiębiorcy, zatrudniającego najemną siłę roboczą lub umysłową.

Istnienie szeregu partii politycznych przesądza możliwość istnienia rozbieżności między nimi w rozmaitych sprawach natury gospodarczej lub taktycznej.

Należy jednak uświadomić sobie, że ten wachlarz gospodarczy i polityczny jest wynikiem naszej struktury państwowej i istnieje, zawdzięczając to takiemu a nie innemu obliczu naszego kraju. Dlatego też nie ma miejsca w Polsce dla tych, którzy chcieliby podkopać podstawy naszego ustroju, którzy chcieliby cofnąć wstecz koło historii i wrócić do gospodarki stylu przedwojennego, opartego na wyzysku człowieka przez człowieka, na wyzysku polskiego świata pracy przez kapitał spekulantów krajowych lub zagranicznych. **Są więc wszelkie możliwości rozwoju gospodarczego i politycznego, ale na podstawie obecnego ustroju Polski, na podstawie obecnej spra-**

wiedliwej struktury społecznej. Dla tych zaś, którzy chcieliby drogą intryg, drogą agentur zagranicznych, organizacji elementów tęskniących za przedwojennym życiem próżniaczym, drogą napadów na działaczy politycznych lub drogą organizowania band leśnych — dla tych, słowem, którzy chcieliby przywrócić przedwojenny stan wyzysku nie ma miejsca w Polsce i nie będzie dla nich możliwości organizowania partii politycznych.

Z przeglądu choćby pobieżnego naszej gospodarki widzimy, że kluczowe pozycje gospodarcze i kulturalne znajdują się w rękach śwata pracy, stwarzającego te dobra na korzyść całego społeczeństwa. Te warstwy świata pracy: **robotnicy, inteligencja stanowią awangardę naszego ustroju,** ponoszą wprawdzie największe ofiary, ale też one głównie przyczyniają się do rozwoju gospodarczego i kulturalnego naszego państwa. **Nie bez powodu więc partie robotnicze: PPR i PPS, organizując w głównej mierze tych ludzi, wysunęły się na czoło budowniczych i kierowników politycznych w naszym państwie.**

Za nimi bezpośrednio kroczy lud wiejski, jako główny współgospodarz i winien mieć swą słuszną pozycję w układzie sił politycznych. Jest zatem w Polsce miejsce na wielkie **Stronnictwo Ludowe** obejmujące swym zasięgiem chłopów pracujących na roli, jako własnym warsztacie pracy.

Jest wreszcie miejsce na organizacje polityczne typu **Stronnictwa Demokratycznego i Stronnictwa Pracy,** obejmujące świat nauki, wolnych zawodów, rzemiosła, handlu prywatnego i całego szeregu ludzi nie objętych ruchem robotniczym lub chłopskim.

Polskie Stronnictwo Ludowe traci stopniowo oblicze ruchu ludowego a staje się opiekunem wszystkich bankrutów politycznych, staje się rozszerzonym obozem, obejmującym wszystkich dążących do Polski przedwojennej, niezależnie od pozycji społecznej jaką w naszym społeczeństwie w tej chwili zajmują Obejmuje PSL swym zasięgiem pewną część chłopów, wiążących swe nadzieje z tradycjami ruchu ludowego, byłych dziedziców wraz z pracownicami domowymi, ludzi nieokreślonych zawodów w mieście, inteligencję związaną ze starym reżymem, bandy leśne — obejmujące cały obóz wstecznictwa, tęskniący za minioną bezpowrotnie przeszłością z okresu chieno-piasta, endecji lub ozonu. Od tego, jaki charakter ostatecznie będzie przybierało PSL zależy jego przyszłość.

Jest w Polsce miejsce dla różnych kierunków politycznych, znajdujących się ze sobą w walce, sporze, uprawiających opozycję, ale niema miejsca dla tych, którzy, nie bacząc na doświadczenia okresu 1918 — 1939 roku, na doświadczenia wojny i jej wyników, ślepo chcą restytuować przeszłość, nie wy-

ciągając z niej żadnej nauki ani dla siebie ani dla swych najbliższych.

Każdy miesiąc, każdy dzień przechyla szalę na rzecz budowniczych Odrodzonej Polski, na rzecz świata pracy, a przywódcy obozu wstecznictwa będą stopniowo coraz bardziej osamotnieni i zostaną odepchnięci przez zwycięski marsz robotników, chłopów i inteligencji, budujących swą własną sprawiedliwą, szczęśliwą Ojczyznę.

ST. A. MAJEWSKI

Problematyka rewolucji w świetle doświadczeń historycznych

(PRÓBA SYNTEZY SOCJOLOGICZNEJ)

I.

Historiografia nowoczesna nieraz gruntownie badała i opracowywała genezę i przebieg ruchów rewolucyjnych, ale nie ma dotąd socjologicznej analizy i typologii rewolucji jako funkcji historycznej. Używa się dzisiaj pojęcia rewolucji w ten sposób, jakby posiadało ono treść wszędzie i zawsze jednoznaczną i stały sens apriorycznie ustalony. W każdej np. encyklopedii można znaleźć szablonowe określenie rewolucji jako gwałtownego przewrotu w politycznym lub gospodarczo-społecznym systemie. *) Tylko „Bolszaja Sowieckaja Encyklopedia" stanowi pod tym względem wyjątek, gdyż poświęca tej sprawie tyle miejsca, na ile ona zasługuje. Jednakże i tu sposób ujęcia jest raczej historyczny niż socjologiczny.

Warto przytoczyć z niej kilka, że tak powiemy, klasycznych definicji. Z pism Marksa cytuje ona następujące definicje: „Na pewnym stopniu swego rozwoju materialne siły wytwórcze społeczeństwa wpadają w sprzeczność z istniejącymi stosunkami wytwórczymi, albo — określając wyrazem prawnym — ze stosunkami własnościowymi, wśród których one do owego czasu się rozwijały. Z formy rozwoju sił wytwórczych — stosunki te przekształciły się w ich okowy. Rewolucja jest to

*) Jest jednak rzeczą charakterystyczną, że w słynnej „Encyklopaedia Britannica" (wyd. 14)... brak wogóle ustępu o rewolucji. Także polska encyklopedia powszechna „Ultima Thule" opuściła „rewolucję" Trudno to uważać za zwyczajne przeoczenie.

usunięcie przemocą tych oków". ...„Rewolucja to nie tylko wyzwolenie rozwijających się sił wytwórczych z krępujących je przestarzałych form stosunków wytwórczych, ale i proces powstawania i rodzenia się nowych sił wytwórczych, które odpowiadają nowemu stopniowi rozwoju społeczeństwa, oraz proces wznoszenia nowej politycznej nadbudowy na odnowionych stosunkach wytwórczych jako ich bazie. Rewolucja to nie tylko gruntowne łamanie starego i przeżytego, ale zarazem twórcze odnowienie społeczeństwa, burzliwy, przyśpieszony rozwój i dążenie ku nowemu..." ...„Rewolucje — to lokomotywy historii".

Lenin określa krótko rewolucje jako gwałtowną walkę klasową, która osiągnęła największe natężenie.

Stalin przeciwstawia w następujący sposób rewolucję — ewolucji: „Ruch ewolucyjny — gdy elementy postępowe prowadzą pracę codzienną i wnoszą małe ilościowe zmiany w stary ład. Ruch rewolucyjny — gdy te elementy jednoczą się i przenikają jedną wspólną ideą i przyśpieszonymi krokami zmierzają do wrogiego obozu, aby u samych podstaw zniszczyć stary ład w jego cechach jakościowych i ustanowić nowy. Ewolucja przygotowuje grunt pod rewolucję, a rewolucja wieńczy dzieło ewolucji".

Jako funkcja społeczna każda rewolucja jest ściśle związana pod względem przebiegu, środków i metod walki oraz swej psychologii — z ustrojem gospodarczo-społecznym, w którym wybuchła. Każdy ustrój gospodarczo-społeczny ma więc swój własny typ rewolucji i swoisty styl rewolucyjny. Spróbujmy te typy pobieżnie tutaj naszkicować.

W ustroju feudalnym typową formą rewolucji jest spisek i sprzysiężenie. W naturze spisku leży, że nie może on być zjawiskiem społeczno-masowym; obejmuje on nieduże koło wtajemniczonych. Wybucha zupełnie nagle i trwa krótko, kończąc się prędko powodzeniem lub katastrofą. Tajemniczość i maskowanie się, nawet w znaczeniu dosłownym, stanowią nieodzowne akcesoria jego stylu. Właściwą bronią jego jest sztylet, trucizna lub stryczek. Spisek nie zmierza do obalenia ustroju feudalnego. Celem jego nie jest zburzenie feudalnych instytucji gospodarczych i prawnych, ale tylko zlikwidowanie pewnych uprawnień personalnych przez zniszczenie osób, które z tych uprawnień korzystają. W razie udania się spisku, uprawnienia te przechodzą na spiskowców. Najczystszą formą rewolucji feudalnej jest tzw. rewolucja pałacowa. Jak wiadomo, rewolucje pałacowe były zjawiskiem niemal regularnym w Rosji carskiej, Turcji i w ogóle w krajach bliskiego Wschodu, w tych krajach bowiem feudalizm utrzymał się do wieku 20-go. Mniej czystą formą rewolucji feudalnej jest spisek junt woj-

skowych, które stanowią, jak wiadomo, specjalność Hiszpanii, Portugalii i republik Południowo-Amerykańskich. Na ogół można powiedzieć, że w 19 i 20 wieku spisek i sprzysiężenie występował tylko w tych krajach, w których elementy feudalizmu były jeszcze żywe. W Niemczech, w republice wejmarskiej i w Trzeciej Rzeszy pruscy junkrzy urządzali pucze wojskowe, które były jakby zmodernizowaną postacią archaicznego spisku feudalnego.

Zupełnie inny charakter posiada rewolucja mieszczańska. Występuje ona w dwóch postaciach. Zmierza ona albo do obalenia ustroju feudalnego i do zastąpienia go ustrojem mieszczańskim, albo jest ona rewolucją polityczną w ramach istniejącego ustroju. Ustrój mieszczański opiera się na tzw. przyrodzonych prawach jednostki — obywatela. Mieszczaństwo w zasadzie uważa zrzeszenia za objaw wtórny, niejako sztuczny i wynik wyłącznie koniunkturalnej umowy, zawarty między jednostkami. Według zasadniczych poglądów mieszczaństwa, wszelkie zrzeszanie i stowarzyszanie się jest połączone z ograniczeniem przyrodzonych praw jednostki. Ideałem jego jest nieograniczona wolność jednostki i niczym nieograniczona konkurencja w życiu gospodarczym i politycznym. W imię tego ideału mieszczaństwo w czasach swego szybkiego rozwoju pod koniec wieku 18 likwidowało wszystkie prawne więzy organizacyjne, zarówno te, które istniały w społeczeństwie od średniowiecza, jak również te, które podówczas na nowo się pojawiły. Wiadomo również, jak stanowczo i wytrwale mieszczaństwo przeciwstawiało się dążeniu proletariatu do zrzeszania się w związki zawodowe.

Te atomizujące tendencje społeczności mieszczańskiej wycisnęły swoje piętno również na rewolucji mieszczańskiej. Cechą istotną tej rewolucji jest to, że występuje ona w formie niezorganizowanej. Pod tym względem różni się ona zasadniczo od spisku, który zawsze jest dobrze zorganizowany. Różni się ona od niego także tym, że jest zjawiskiem społeczno-masowym. Rewolucja mieszczańska składa się z szeregu rozruchów masowych, w których emocje i impulsywne działanie pod wpływem naśladownictwa posiadają decydujące znaczenie. W związku z tym na pierwszy plan wysuwają się jednostki wybitne. Na ich wyczyny nastawiona jest zrewolucjonizowana masa mieszczaństwa. Naodwrót jednostka, pod wpływem tego nastawienia masy, czuje się w roli aktora na scenie, na którym skupiona jest uwaga widzów. Barykada i czapka frygijska — to akcesoria teatralne tego widowiska. Jednostka w tej masie pozuje na pół świadomie, na pół bezwiednie na bohatera — w razie powodzenia, a — na męczennika w razie klęski. Ponie-

waż stawką gry jest życie, rewolucjonista jest przesądny. Jest on politycznym fetyszystą, który wierzy w społeczne i polityczne cuda. Zdaje się on na los szczęścia, a jednocześnie jest bardzo często przeświadczony o swojej genialności i wielkości. Jakkolwiek walczy on w imię haseł wolności, równości i braterstwa, jest on w głębi duszy tyranem, absolutystą i arystokratą. Typem historycznym takiego rewolucjonisty był Blanqui, który od roku 1827 do 1870 brał udział w 13 rewolucjach, spędził 37 lat w więzieniu i wielokrotnie skazywany był na śmierć i ułaskawiany. Jest on tak dalece przedstawicielem i uosobieniem rewolucji mieszczańskij ze wszystkimi jej zaletami i wadami, że w piśmiennictwie przyjęła się nazwa „blankizm" jako jej określenie. Anarchizm rewolucyjny i terroryzm jednostkowy jest najczystszym wykwitem mieszczańskiego ducha rewolucyjnego.

Znowu inny zupełnie charakter posiada rewolucja proletariacka. W zasadzie małą rolę odgrywa w niej konspiracja. która, jak widzieliśmy wyżej, stanowi nieodłączną cechę rewolucji feudalnej. Nieznane jej są również afektacje i gesty teatralne rewolucji mieszczańskiej. Minimalne znaczenie posiadają w niej heroiczne wyczyny jednostki. Decydującą rolę odgrywa organizacja, pod tym względem podobna jest do sprzysiężenia feudalnego, ale jest to organizacja mas a nie nielicznego koła wtajemniczonych. Rewolucja proletariacka jest permanentna w sensie stałej bojowj gotowości do czynu. Apeluje ona nie tylko do entuzjazmu, ale także do intelektu. Dlatego uświadamianie i szkolenie polityczne posiada tak duże znaczenie w rewolucjonizmie proletariackim. Podczas gdy rewolucja mieszczańska jest bezładnym odruchowym tumultem, rewolucja proletariacka urasta do rzędu sztuki i umiejętności taktycznej i strategicznej. Głównym środkiem jej walki jest powszechny strajk polityczny. Nie jest to wcale przypadek, że proletariat przez dziesiątki lat uważał strajk nie tylko za środek walki w dążeniach do poprawienia swej sytuacji materialnej, ale za broń, która w odpowiednim czasie zastosowana w skali międzynarodowej doprowadzi do obalenia ustroju kapitalistycznego. W syndykalizmie duch rewolucyjny proletariatu znalazł swój najczystszy wyraz i zarazem doszedł do przesilenia. *)

Tak więc jednym i tym samym słowem „rewolucja" oznacza się dzisiaj różnoraką treść socjologiczną. Naszkicowane wyżej schematycznie typy rewolucji nie wyczerpują, rozumie się, obszernego i ważnego zagadnienia typologii rewolucyjnej. Zagadnienie to czeka jeszcze na gruntowne i wszechstronne opracowanie. W naszych rozważaniach te schematyczne uogólnie-

*) patrz niżej.

nia pozwolą zapobiec ewentualnym nieporozumieniom i niezrozumieniom.

W dalszym ciągu będziemy się zajmowali wyłącznie rewolucją proletariacką, czyli socjalną jak się ją zwykło określać. Problematyka rewolucji socjalnej ma różnorodne zawiłości, które przez długie lata roztrząsane były w pieśmiennictwie. Należy im się przyjrzeć w nowym oświetleniu, zdobytym w bogatym doświadczeniu historycznym rewolucyjnych ruchów wieku XX, szczególnie w doświadczeniu proletariatu rosyjskiego.

Geneza teorii rewolucji proletariackiej związana jest z teoretyczną i praktyczną działalnością Marksa i Engelsa. W poglądach ich na sprawę rewolucji niewątpliwie daje się zauważyć pewna chwiejność. W pierwszych swoich dziennikarskich pracach Marks uważa krytykę stosunków politycznych i idei literackich za istotę wszelkich akcji rewolucyjnych. Uważa on idee komunistyczne za najpewniejszą i najskuteczniejszą broń w walce z ustrojem panującym, gdyż, jak powiada, armatami można stłumić każde czynne wystąpienie rewolucyjne, ale nie można za ich pomocą zwalczać idei. Ale już w roku 1844 w „Niemiecko-francuskich rocznikach" mówi on o „proletariacko-filozoficznej" (sic!) rewolucji. A w rok później w uwagach o Feurbachu domaga się zamiast teorii — działalności praktyczno-krytycznej, czyli „rewolucyjnej praktyki przełomowej". W roku 1847 w rozprawie przeciw Proudhonowi wywodzi Marks, że społeczeństwo jako oparte na przeciwieństwach klasowych zmierza do brutalnych starć, do walki wręcz człowieka z człowiekiem. Rozprawa ta kończy się cytatem z Georg Sand. „Walka albo śmierć, krwawy bój albo nicość, tak nieubłaganie należy postawić kwestię".

W „Manifeście Komunistycznym" (1848) można czytać: „Komuniści gardzą zatajaniem swych zamysłów i zamierzeń. Oświadczają otwarcie, że cele, które sobie stawiają, mogą osiągnąć tylko na drodze obalenia przemocą istniejącego ładu społecznego. Niechaj panujące klasy drżą przed rewolucją komunistyczną. Proletariusze nie mają nic do stracenia prócz swoich kajdan, a mogą oni świat zdobyć". W tym samym roku poleca Marks (Neue Rhein. Zeitung) terror rewolucyjny jako jedyny i najprostszy środek walki. „Istnieje tylko jedyny sposób skrócenia i uproszczenia... morderczej agonii starej społeczności i krwawych bólów porodowych — nowej. Jest nim rewolucyjny terror".

Niepowodzenia ruchów rewolucyjnych w latach 1848 i 1849 nie wpłynęły na zmianę poglądów Marksa. W pracy pt. „Walki klasowe we Francji w latach 1848 — 1850", oczekuje on

rychłego ponownego wybuchu ruchów rewolucyjnych, parafrazując znane powiedzenie: La revolution est morte, vive la revolution! Podobny pogląd wyraża on w artykułach pisanych w latach 1851 — 1852 w newyorskiej „Tribune", Również w związku z wojną krymską (1853 — 1856) żywi takie nadzieje.

Ale gdy w roku 1870 sytuacja wewnętrzna Francji zaczęła się coraz bardziej komplikować i z dnia na dzień wzmagało się napięcię wśród proletariatu, Marks w jesieni tego roku za pośrednictwem Rady Naczelnej Międzynarodówki ostrzegał robotników francuskich przed próbą obalenia rządu. Gdy jednakże mimo to rewolucja wybuchła, Międzynarodówka stanęła po jej stronie i Marks stał się obrońcą i gloryfikatorem komuny paryskiej. W roku 1871 zredagował on oświadczenie Naczelnej Rady, w którym pisze: „Paryż robotników z jego Komuną będzie po wsze czasy pamiętny jako sławna zapowiedź nowej społeczności. Jej męczennicy pozostaną na zawsze w sercu klasy robotniczej. Jej ciemiężycieli już teraz historia postawiła pod pręgierz"... Marks nie tylko gloryfikował bohaterstwo komunardów wedle jego wyrażenia „szturmujących niebo", ale w masowym ruchu rewolucyjnym, mimo że nie osiągnął on celu, widział wielkiej wagi doświadczenie dziejowe, pewien krok naprzód w kierunku światowej rewolucji proletariackiej, krok praktyczny o wiele ważniejszy, niż setki programów i rozpraw. „Zanalizować to doświadczenie, wyciągnąć zeń wskazania taktyczne, skontrolować raz jeszcze swoją teorię na podstawie jego wyników — oto jakie zadanie wytknął sobie Marks.

Pod trzeźwymi rozumowaniami i na pozór oschłymi wywodami pierwszego tomu „Kapitału" wyczuwa się nurt buntu przeciwko bezprawiu kapitalizmu. Tom ten jest w gruncie rzeczy nieprzerwanym apelem do rewolucji, ale tom trzeci „Kapitału" jest znacznie spokojniejszy i dyskretniejszy pod tym względem.

Podobną chwiejność w kwestii rewolucji zauważyć można w pismach Engelsa. I tak w „Anti-Dühring" określa on partię socjalistyczną jako najbardziej rewolucyjną, jaką zna historia. Niejednokrotnie zabierał w tym samym duchu głos wobec zagadnienia rewolucji. Ale najobszerniej zajął się tą sprawą pod koniec życia (1895) we wstępie do książkowego wydania artykułów Marksa pt. Walki klasowe we Francji w 1848—1850. Wstęp ten uważają marksiści za testament polityczny Engelsa, podsumuwujący bogate doświadczenie jego długiego życia. Testament ten wywarł doniosły wpływ na dalszy rozwój marksistowskiej teorii rewolucji. Przypomnieć więc należy zawarte w nim myśli przewodnie.

We wstępie tym wysnuwa on wnioski z doświadczeń i niepowodzeń, rewolucji r. 1848. Przyznaje on, że zarówno on sam, jak i Marks oddawali się i po roku 1848 iluzjom, że bliski jest kryzys gospodarczy świata i że nadchodzi socjalna rewolucja. Rozwój historyczny nie tylko rozwiał te iluzje, ale także gruntownie zmienił warunki, w których proletariat musi walczyć. W szczególności metody walki rewolucyjnej stosowane jeszcze w r. 1848 okazały się zupełnie przestarzałe w drugiej połowie wieku XIX-go. Engels poddaje ostrej krytyce metody i środki walki rewolucyjnej, stosowane w drugiej połowie XIX-go wieku *). Rebelia w starym stylu, wywodzi on, z jej walkami ulicznymi i barykadami należy już do historii. „Nie łudźmy się: faktyczne zwycięstwo powstańców nad wojskiem w walkach ulicznych, zwycięstwo takie, jakim zwykło się kończyć starcie między dwiema armiami, należy do największych rzadkości. O takie zwycięstwo też powstańcom chodzić nie mogło. Zmierzali oni raczej do tego, aby wojsko skruszyć moralnie. Gdy się to udawało, powstanie kończyło się zwycięstwem, w przeciwnym razie — klęską. Klęska była udziałem większości powstań, Wojsko bowiem nawet liczebnie słabsze było lepiej uzbrojone, szkolone, jednolicie kierowane, a siły jego były lepiej wykorzystywane. Także pod względem dyscypliny miało ono przewagę. Insurekcja może najwyżej — w prawdziwie taktycznej akcji wznieść poszczególną barykadę według sztuki wojennej. Ale powstańcom brak z reguły organizacji, jednolitego planu oraz umiejętności i możności koncentrowania głównych sił bojowych w punktach o znaczeniu decydującym. To też powstanie musi w istocie swej nosić charakter defensywny, akcja zaczepna należy do wyjątków i ogranicza się właściwie tylko do obsadzania stanowisk opuszczanych przez wojsko. Poza tym wojsko posiada artylerię i szkolone oddziały techniczne. Nie dziw więc, że nawet najbardziej bohaterskie walki barykadowe kończyły się klęską powstańców, ilekroć atakujące dowództwo wojskowe umiało działać według reguł taktyki wojennej i nie było krępowane względami natury politycznej.

Jeżeli mimo to do r. 1848 niektóre powstania udały się, to miało to różnorakie przyczyny. W Paryżu w lipcu 1830, w lutym 1848 r. i w przeważnej części powstań hiszpańskich milicja obywatelska, która stanowiła odrębną formację militarną, przechylała szalę zwycięstwa na stronę powstania. Gdy w roku 1848 milicja obywatelska wystąpiła w Paryżu prze-

---

*) Engels uważany jest za wybitnego znawcę sztuki wojennej i książka jego o strategii p. t. „Notes of war" (1870-71) uchodzi za ważną pozycję w literaturze wojskowej.

ciw powstańcom, pociągnęło to za sobą klęskę. W innych wypadkach tylko zupełny brak energii albo uzdolnienia dowództwa, a czasami pewne jego otamowania polityczne przyczyniały się do zwycięstwa powstania. Nawet w klasycznych czasach walk ulicznych barykada miała znaczenie raczej moralne, aniżeli materialno-fizyczne, była ona środkiem do osłabienia morale żołnierzy. Po roku 1849 barykada traci swój czar i zdolność oddziaływania moralnego na regularne wojsko. Żołnierz widzi za barykadami nie rewolucjonistów, ale wyrzutki społeczeństwa, a oficer nauczył się walki ulicznej. Zapewne liczba ludności w miastach wzrosła, ale jednocześnie powiększyły się i armie. Garnizony miast mogą w ciągu 24 godzin przekształcić się w olbrzymie armie. Współczesne wojsko rozporządza bardzo skuteczną, szybkostrzelną bronią, a nowoczesne szerokie ulice i bulwary są jakby celowo zbudowane dla obstrzału armatniego. Jakże na takich ulicach wznosić barykady? Takie pomysły mogą być tylko życzeniem tych warstw społecznych, któreby prągnęły prędko i łatwo rozprawić się z zagrażającą rewolucją. Zresztą rewolucje do r. 1848 były dziełem mniejszości, a rewolucja jest etycznie uzasadniona i faktycznie skuteczna tylko wtedy, gdy jest czynem większości społeczeństwa. Główne więc zadanie polegać musi na tym, aby proletariat skupił w akcji rewolucyjnej również warstwy średniego i drobnego mieszczaństwa, w przeciwnym razie „lud" rozpada się na dwa odłamy, z których jeden jest wrogo, a drugi przychylnie ustosunkowany do rewolucji. To też nawet w krajach romańskich o starej tradycji rewolucyjnej dawna metoda walki zostaje zaniechana *).

Taki oto jest testament rewolucyjny Engelsa.

Jakiż był rodzaj i jakie były źródła chwiejności Marksa i Engelsa wobec rewolucji? Z wywodów powyższych wynika niezbicie, że chwiejność ich odnosiła się nie do rewolucji, ale tylko do taktyki strategii rewolucyjnej, które stosowane były w walkach klasowych wieku XIX. Znane jest powiedzenie Marksa, że jest on rewolucjonistą, a nie doktrynerem. Wbrew bardzo rozpowszechnionemu, ale z gruntu fałszywemu mniemaniu, materializm dziejowy nie jest ani doktryną, ani tym mniej dogmatem. Jest on tylko wytyczną i hipotezą heurystyczną w myśleniu i działaniu. Co prawda — hipoteza tak często potwierdzana przez doświadczenie historyczne, że staje się ona niemal pewnikiem. Ten empiryczny charakter materializmu dziejowego polega na nieustannym konfrontowaniu pomysłów z faktami i teorii z rzeczywistością. Pisma Marksa i Engelsa

---

*) Dotychczasowe cytaty z pism Marksa i Engelsa podajemy według H. G. Masaryka Die Philosophischen und soziologischen Grundlagen des Marxismus Wieden 1899.

są właśnie nieustannym zestawieniem tymczasowo przyjętych tez z żywą, ciągle rozwijającą się sytuacją gospodarczo społeczną. Analiza przebiegu ruchów rewolucyjnych wieku XIX wykazała Engelsowi, że metody i środki proletariackich ruchów rewolucyjnych pochodziły z epoki minionej, w której były celowe i skuteczne, ale które stały się anachronizmem w wieku pary i elektryczności oraz kapitalizmu maszynowgo. Jedyną nowoczesną metodą walki proletariatu był powszechny strajk polityczny. Ale zarówno rozumowanie jak i doświadczenie przekonywująco mówiło, że przez zastosowanie tylko tego środka walki nie można dokonać rewolucji socjalnej. Dlatego Engels *na razie*. nie znajdując po za strajkiem żadnych nowych taktycznych środków walki, zaleca powolną propagandę uświadamiającą i polityczną walkę parlamentarną. *Na razie*, bo z prawa do rewolucji nie rezygnuje. Według Engelsa z prawa takiego nawet rezygnować nie można. Albowiem „prawo do rewolucji jest w ogóle jedynym rzeczywiście historycznym prawem, jedynym, na którym opierają się wszystkie bez wyjątku nowoczesne państwa". Konstytucyjne prawo angielskie wywodzi się z Deklaracji Praw Narodu (1688), która była aktem rewolucyjnym.

Konstytucja Stanów Zjednoczonych opiera się na Amerykańskiej Deklaracji Niepodległości (1776), która proklamuje prawo przyrodzone człowieka do rewolucji. Wszystkie konstytucje Francji sięgają do aktów rewolucyjnych lat 1789—1793 jako do swego źródła.

Empiryczny zresztą charakter materializmu dziejowego, jego nieustanne odwoływanie się od teorii do doświadczenia w najszerszym zakresie pokazywało mu niezbicie, że rewolucja była nie tylko procesem nieodłącznym od dziejów ludzkich bez względu na wiek, cywilizację i ustrój społeczny. Jest ona również procesem występującym w przyrodzie, nawet jeszcze częściej, aniżeli w kulturze. Istota bowiem wszelkiej rewolucji polega na nagłym zjawianiu się nowych cech jakościowych. Jak długo zachodzi tylko powolne sumowanie się cech tej samej jakości, mamy do czynienia z ewolucją. Po osiągnięciu pewnego nasilenia dana cecha jakościowa ustępuje nagle miejsca innej, nowej. Taką rewolucję stanowi w przyrodzie martwej zmiana stanu skupienia, lub wszystkie zmiany chemiczne. Rewolucję stanowi przemiana jednego rodzaju energii w drugą. Rewolucję stanowiło przejście materii w życie organiczne. Rewolucją było pojawienie się nowego gatunku.

Engels kończy swoje wywody stwierdzeniem, że historia zdobyła się na paradoksalną ironię. Odwróciła ona logikę do góry nogami. „Wywrotowcy, rewolucjoniści wychodzą lepiej

na stosowaniu w walce środków legalnych, aniżeli na gwałtownym przewrocie. Na odwrót, partia ładu społecznego legalizmem doprowadza do upadku ów porządek prawny, który sama ustanowiła i na którego straży stoi". Engels proroczo przewiduje, że taki stan rzeczy nie będzie trwały. Ponieważ klasa robotnicza nie da się pchnąć do walk ulicznych, czego pragnie partia porządku, tej partii nie pozostanie nic innego, jak ze swej strony złamać ów porządek prawny, tak fatalny dla jej przyszłości. Innymi słowy Engels niemal przewiduje nadejście faszyzmu, który zastosuje nielegalne, prewencyjne środki przemocy dla zapobieżenia katastrofie niechybnie grożącej mieszczaństwu. Ostatecznie jednak — mówi Engels — stanie się to, co się stało 1.600 lat temu w Rzymie: religia prześladowanych chrześcijan została w końcu proklamowana jego religią państwową.

Jak widzimy, imputowanie materializmowi dziejowemu negatywnego stosunku do procesów rewolucyjnych znaczy to samo, co odebranie mu charakteru empirycznego i oderwanie go od całokształtu nauki. A przecież nie darmo Marks i Engels określili swoje stanowisko jako socjalizm naukowy. Tymczasem na drogę naukowego wyjałowienia materializmu dziejowego wkroczyły na przełomie XIX i XX wieku teorie socjalne ruchów robotniczych niemal w całej Europie. Odżegnywano się nagminnie od rewolucjonizmu właśnie w imię nauki i postępu. Najbardziej metodycznie i systematycznie uczynił to E. Bernstein. Ogłosił on rewolucjonizm marksizmu jako „teorię katastrof" i uznał taktykę kompromisów za jedynie słuszną i celową. Gromadził on argumenty historyczne, które miały wykazać, że partia robotnicza zawdzięczała wszystkie swoje osiągnięcia kompromisowi, a wszystkie klęski nieprzejednaniu. Zastrzegał się on co prawda, że kompromis może się tyczyć tylko akcji a nie zasad i programów, ale było to zastrzeżenie gołosłowne. Program bowiem zasadniczej przebudowy ustroju gospodarczo społecznego został w gruncie rzeczy przez Bernsteina uznany za romantyczny twór pokoleń niedojrzałych politycznie. Reformizm socjalny stał się główną treścią życia politycznego niemieckiej socjalnej demokracji i jej teoretyków Bebla i Wilhelma Liebknechta. Tylko najgłębszy z nich, Kautsky, znakomity ekonomista i bezpośredni uczeń Engelsa, niemal do końca życia wahał się między rewolucjonizmem a reformizmem. Wszyscy reformiści niemieccy mimo faktycznego zerwania z rewolucjonizmem, a więc z materializmem dziejowym tak jak go pojmował Marks i Engels, nie przestali uważać się za prawowiernych marksistów. Nie przestali się oni powoływać na pisma swych mistrzów, które jednak dowolnie, a niekiedy nawet całkiem opatrznie interpretowali.

W innych krajach reformizm był mniej doktrynalny i konsekwentny. Jego angielską odmianą był fabianizm, w którym dużą rolę odgrywali Shaw i Wells. Shaw wystąpił przeciwko „frazeologicznemu radykalizmowi" socjalistów, określając marksistów jako dziecinnych romantyków. Podobne stanowisko zajęli małżonkowie Webb, znani historycy angielskich związków zawodowych. Ramsay Macdonald zwalczał „nienaukowy demokratyzm" socjalizmu marksistowskiego. We Francji Jaurès rozpuszczał rewolucjonizm socjalizmu w potoku patetycznego krasomówstwa. W Stanach Zjednoczonych nie było potrzeby zwalczania rewolucjonizmu marksistowskiego, bo go tam do owego czasu wcale nie było.

Ten powszechny zanik rewolucjonizmu w teorii i w praktyce ruchu robotniczego na przełomie wieku XIX i XX miał swoje przyczyny w ówczesnej rzeczywistości gospodarczo-społecznej. Wspomnieliśmy wyżej, że Engels określił ją jako paradoks historii, któremu nie wróżył trwałości. Jakaż była ta rzeczywistość? Koniec XIX wieku jest to apogeum liberalistycznego kapitalizmu. W owym czasie w gospodarce kapitalistycznej było stosunkowo najwięcej wolnej, nieograniczonej konkurencji na rynku wewnętrznym i najwięcej obrotów w handlu zewnętrznym. Kapitalizm był w pełni swego rozmachu pionierskiego. Odkrywał i zdobywał on wciąż nowe rynki zbytu. Rosła produkcja. Usunięto niemal zupełnie bariery celne. Nie było — za wyjątkiem Rosji — paszportów zagranicznych ani wiz. Ludność mogła swobodnie emigrować i przenosić się z kraju do kraju. Zanikało bezrobocie. Narastały bogactwa krajów. Podniosła się stopa życiowa. Wszystkie kraje przemysłowe miały łatwy zbyt dla swych towarów. W tych wyjątkowo pomyślnych, ale jak się okazało, bardzo nietrwałych warunkach szybko poprawiała się sytuacja materialna i polepszały się warunki pracy proletariatu. Osiągał on te zdobycze nie bez walki, ale bronią w tej walce był strajk gospodarczy. Często wystarczała nawet groźba strajku. Z powodu istnienia dużego popytu na towary, każde przerwanie produkcji z powodu strajku przynosiło dotkliwe straty właścicielom fabryk. Gdy strajk się przedłużał, traciło się często zagraniczny rynek zbytu, a uzyskanie nowego było połączone z kosztownymi wysiłkami. W tej atmosferze ciągle wzrastającego dobrobytu, względnej pokojowości w stosunkach międzynarodowych, dość swobodnej konkurencji wewnątrz, ustępliwości warstw posiadających (ustępliwości opartej coprawda na kalkulacji handlowej, ale tym nie mniej rzeczywistej) mogła się zrodzić tylko ideologia że tak powiemy, komfortowego reformizmu. Miejsce buntu przeciw kapitalizmowi zajęła chęć stopniowego, łagodnego poprawiania jego szkodliwych przero-

stów, a ideał nowego ustroju społecznego został wyparty przez pogląd, że kapitalizm jest ostatecznie najlepszą z rzeczywiście możliwych form gospodarczych. Miejsce bieżącej ale twórczej zarazem dialektyki zajął jałowy, dobroduszny eklektycyzm.

Ale ta idylla trwała bardzo krótko. Pomyślny rozwój gospodarczy doprowadził do nieznanej dotychczas koncentracji warsztatów pracy. Na te lata idylliczne przypadają narodziny pierwszych trustów. Szczególnie w Stanach Zjednoczonych mnożą się one z nadzwyczajną szybkością. Kapitalizm liberalistyczny w niesłychanie szybkim tempie przekształca się w kapitalizm monopolistyczny, w którym decydujący wpływ na życie gospodarcze i politykę zdobywają kartele i wielkie banki. Jednocześnie skończyła się rola pionierska kapitalizmu: świat cały został opanowany i podzielony. Odtąd tylko na drodze wojny zdobyć można było nowy rynek zbytu. A wobec różnorodnego powiązania interesów międzynarodowego kapitału, każda wojna musiała się nieuchronnie przeobrazić w wojnę światową. Kapitalizm monopolistyczny był równocześnie imperialistyczny.

Równocześnie dokonało się bardzo charakterystyczne przesunięcie centrum ruchów rewolucyjnych w Europie. W r. 1902 zamieścił w rewolucyjnej „Iskrze" Kautsky artykuł pt. „Słowianie a rewolucja", w którym m. inn. pisał: „Ośrodek rewolucji przesuwa się z zachodu na wschód. W pierwszej połowie w. XIX znajdował się on we Francji, niekiedy w Anglii. W r. 1848 Niemcy wstąpiły w szeregi narodów rewolucyjnych... Nowe stulecie zaczęło się od wydarzeń, które naprowadzają na myśl, że nadchodzi dalsze przesunięcie ośrodka rewolucyjnego, mianowicie do Rosji. Rosja, która przejęła z zachodu tyle rewolucyjnej inicjatywy, teraz prawdopodobnie sama stanie się źródłem energii rewolucyjnej. Rozpalający się rosyjski ruch rewolucyjny okaże się może najpotężniejszym środkiem zniszczenia, zaczynającego się szerzyć w naszych szeregach ducha nędznego filisterstwa i wstrzemięźliwego politykierstwa; sprawi on, że znów wybuchnie jasnym płomieniem żądza walki i gorące oddanie naszym ideałom. Rosja już dawno przestała być dla Europy Zachodniej zwykłą ostoją reakcji i absolutyzmu. Sprawa ma się obecnie wręcz odwrotnie: Europa zachodnia staje się ostoją reakcji i absolutyzmu dla Rosji... Z carem rosyjscy rewolucjoniści dawno może byliby dali sobie radę, gdyby jednocześnie nie musieli prowadzić walki również z jego sprzymierzeńcem — kapitałem europejskim... W roku 1848 Słowianie byli niby mróz trzaskający, który zwarzył kwiaty „wiosny ludów". Być może, że teraz sądzone im jest być burzą, która skruszy lody reakcji i niepohamowanie przyniesie nową szczęśliwą wiosnę ludów".

T. ŚWIECKI

Zakłamanie burżuazyjnej moralności *)

Zakłamanie współczesnej moralności, abstrakcyjność ideałów i zasad moralnych etyki chrześcijańskiej jest faktem w tym stopniu oczywistym, że byłoby nadużywaniem czasu czytelników fakt ten uzasadniać. Zwłaszcza rzeczywistość powojenna fakt ten wyjaskrawiła w tym stopniu, że nikt nie ośmiela się mu dziś zaprzeczyć. Sama wojna, owa krwawa masakra, błogosławiona przez urzędowych przedstawicieli moralności współczesnej — świeckich i duchownych — dała ludziom, obdarzonym choćby odrobiną zdolności krytycznego myślenia, pojęcie o przepaści, dzielącej moralność, której naczelną zasadą jest miłość bliźniego, od rzeczywistości stosunków międzyludzkich, w której żyjemy, obudziła w każdym myślącym człowieku zrozumienie, że ta moralność i ewolucja jej pojęć i zasad jest całkowicie oderwana od rzeczywistości i na kształtowanie się stosunków, na postępowanie ludzkie nie ma żadnego wpływu. Wojujący faszyzm i jego cyniczne, pozbawione wszelkiego nawet konwenansu nieliczenie się z jakimikolwiek bądź rzekomo obowiązującymi ideałami i zasadami dokonało reszty. To wszystko, na co w tej chwili mogą się zdobyć rzecznicy tej etyki, to bezsilne biadolenie i ubolewanie, będące przecież oczywistym stwierdzeniem i abstrakcyjności i wynikającej stąd bezsilności, wyznawanej i głoszonej przez nich ewangelii moralnej. Tylko jednak ludzie niezdolni do analizy spostrzeżonych zjawisk mogą fakt ten uważać za nagły i nieoczekiwany, charakterystyczny tylko dla rzeczywistości lat ostatnich. W istocie fakt ten zaobserwować można, jest on dostatecznie widoczny na całej przestrzeni historii narodów chrześcijańskich. Zdawali sobie z tego sprawę ludzie o wrażliwszym sumieniu nawet w okresie największego nasilenia idealistycznego poglądu na świat, więc w okresie romantyzmu. Sięgnijmy po przykłady. Weźmy choćby największego poetę, moralistę polskiego romantyzmu, Mickiewicza, jego poetycki traktat historiozoficzny, „Księgi Narodu Polskiego”. Na treść tego poetyckiego traktatu składa się przede wszystkim ocena całej międzynarodowej rzeczywistości od czasów Chrystusa aż do współczesnej — tragiczne stwierdzenie, że w dziejowym rozwoju ludzkości ideały i zasady Chrystusa pozostały na marginesie życia, że w polityce i życiu społecznym, w postępowaniu ludzkim rządzą prawa, nie mające nic wspólnego, a nawet przeciwstawne do pa-

*) Patrz „Lewy Tor“ Nr 17. Rok 1936.

nujących poglądów moralnych. Podobnie jeden z najwybitniejszych naszych filozofów, August Cieszkowski, w swoim traktacie „Ojcze nasz", charakteryzując epokę chrześcijańską od jej początków aż do czasów mu współczesnych, stwierdza, że w całej tej epoce od jej początku aż do końca ideały i zasady moralne pozostawały wyłącznie w sferze myśli, nie oddziaływując na postępowanie ludzkie. Obaj romantycy, przedstawiciele skrajnej filozofii idealistycznej, stwierdzając ten fakt, nie mogą w ramach wyznawanego światopoglądu znaleźć wyjścia z tej stwierdzonej tragicznej sytuacji, obaj rzeczywistości przeciwstawiają fikcję przyszłości, obaj wierzą, że oto po oświetleniu przez nich sprawy ludzkość zrozumie, że błądzi i pójdzie inną drogą. Ale życie rządzi się swoimi prawami, ma swoją własną logikę. Na przestrzeni dziejów nie brak zarówno u nas, jak i wśród innych społeczeństw, apostołów, prostujących zarosłe ich zdaniem ścieżki Chrystusa, dopóki jednak to prostowanie odbywało się w płaszczyźnie idealistycznego poglądu na świat, nie miały te choćby z najszlachetniejszych źródeł duszy płynące wysiłki żadnego wpływu na życie, ani nie mogły wskazać właściwych przyczyn tego stanu rzeczy.

Dopiero materialistyczne pojmowanie dziejów oświetliło i wyjaśniło istotę rozdźwięku między moralnością chrześcijańską a rzeczywistością, rozdźwięku, trwającego od czasu, kiedy chrześcijanizm stał się religią panującą, aż po dzień dzisiejszy. Chrystianizm wyrósł z określonego podłoża gospodarczo-społecznego. Jego ideały i zasady moralne były wyrazem niezadowolenia z istniejącego układu sił społecznych. Chrystianizm był przecież religią nędzarzy i niewolników — jako ideologia społeczno-moralna z tego środowiska wyrósł. W chwili swojego ustalania się posiadał charakter światoburczy, rewolucyjny. Ideały takie, jak równość wszystkich ludzi, wolność, były w tej ideologii nie tylko zasadami moralnymi, ale postulatami społecznymi.

Chrystianizm, jako światoburcza ideologia społeczna był nie do przyjęcia przez kościół, instytucję aprobującą istniejący układ stosunków społecznych. Odebrać mu ten charakter światoburczy, rewolucyjny wtedy, kiedy chrystianizm stał się religią panującą, broniącą istniejącego układu sił społecznych, można było tylko przez oderwanie chrystianizmu, jego ideałów i zasad moralnych od żywej treści życia gospodarczo-społecznego i przeniesienie w martwą dziedzinę abstrakcyjnej spekulacji. Z chwilą kiedy to zostało dokonane, odebrany został zarazem czynny charakter tej moralności, przekreślona możliwość jej wpływu na kształtowanie się stosunków międzyludzkich. Z tą chwilą rozeszły się drogi ewolucji zasad moral-

nych i życia. Pierwsze odbywają się w płaszczyźnie abstrakcyjnej spekulacji, drugie rządziło się swoimi prawami.

Te prawa, którymi rządzi się życie, rzeczywiste siły, kształtujące stosunki międzyludzkie, postępowanie ludzi, odsłania nam właśnie materialistyczne pojmowanie dziejów, to są tak samo, jak siły rządzące w przyrodzie siły natury materialnej. W świetle stosunków międzyludzkich tymi siłami, kierującymi postępowaniem człowieka, są przyczyny ekonomiczne. Rozwój moralny ludzkości, nie ten abstrakcyjny, ale ten istotny, tak jak rozwój całej kultury, jest ściśle związany z procesem gospodarczo-społecznym i wyraża się nie w wyznawaniu i głoszeniu choćby najpiękniejszych ideałów, ale w doskonaleniu się form życia zbiorowego, w zmianach w ustroju gospodarczo-społecznym.

O tej drugiej słusznie mówi prof. Menger w swojej rozprawie, że opiera się na ustosunkowaniu sił społecznych, według niej moralny jest ten, kto wie jak należy stosować się do sił społecznych, niemoralny ten, kto tym siłom stawia opór.

Zakłamanie współczesnej moralności ma poza tą genetyczną od samych podstaw i przyczynę bliższą związaną już bezpośrednio z historią burżuazji, jako klasy i dziejów jej ideologii. Podstawą filozoficzną tej ideologii był materialistyczny pogląd na świat filozofów XVIII w. Pod sztandarem tego właśnie materialistycznego poglądu na świat odniosła burżuazja zwycięstwo i stabilizowała ustrój kapitalistyczny, wyrzekła się tego materialistycznego poglądu na świat, kiedy wyjaśnianie na tej podstawie filozoficznej dalszego rozwoju gospodarczo-społecznego mogło stać się dla niej groźne, pozostały jednak w jej światopoglądzie, w myśleniu, pojmowaniu świata liczne elementy dawnego stanowiska. Stąd rażące sprzeczności w całej kulturze burżuazyjnej, zwłaszcza jaskrawo występujące w dziedzinie poglądów moralnych. Stąd podwójne kryteria moralne. Wbrew więc nastawieniu teoretycznemu ku idealizmowi, wbrew idealizmowi, jako podstawie filozoficznej światopoglądu, zasadniczą cechą kultury burżuazyjnej jest gruby praktyczny materializm, związany z podstawową cechą ustroju kapitalistycznego, opartego o własność prywatną.

W istocie bowiem z zasad ustroju kapitalistycznego wynika inne, niż religijne kryterium wartości człowieka; tym kryterium bynajmniej nie jest poziom moralny jednostki, zgodność jej postępowania z głoszonymi zasadami, ideami moralności religii chrześcijańskiej, ale osiągnięte przez nią sukcesy materialne, ściślej finansowe. Przywykliśmy już do ubolewań, że mimo powtarzanych frazesów, mimo moralizatorskich kazań, wygłaszanych przez duchownych i świeckich, ceni

się ludzi według ich stanu majątkowego, otacza szacunkiem ludzi, którzy służą nie zbiorowości, ale sobie, a dzielność widzi się w przysparzaniu sobie dóbr materialnych.

Druga jaskrawa sprzeczność w dziedzinie współczesnej moralności tkwi w sprzeczności altruistycznego nastawienia, wynikającego z zasad moralnych, z egoizmem, który jest właściwym motorem postępowania człowieka. Dla ustroju kapitalistycznego jest charakterystyczny nie chrześcijański altruizm, a rozpasany egoizm, związany z podstawą regulującą życie gospodarcze w ustroju kapitalistycznym, wolną konkurencją w przemyśle i handlu. W istocie rzeczy w ustroju kapitalistycznym stosunki międzyludzkie, zarówno w sensie stosunków międzynarodowych, międzyklasowych. między poszczególnymi grupami zawodowymi i towarzyskimi, klikowymi itd., jak i w sensie indywidualnych stosunków między jednostkami regulują nie martwe, zawieszone w powietrzu zasady moralne czy indywidualne, a żywa, kształtująca gospodarcze stosunki, walka konkurencyjna każdego przeciw wszystkim. Związki jednostek w większe lub mniejsze, bardziej lub mniej trwałe grupy dokonywują się w istocie nie na podstawie takich czy innych ideałów, ale na podstawie zmowy przeciw innym jednostkom czy grupom w walce konkurencyjnej. Granicę solidarności wewnątrz każdej takiej grupy wykreśla interes materialny wchodzących w skład danej grupy jednostek i poza tę granicę solidarności w istocie wykroczyć nie może.

Może ktoś tutaj zaprzeczyć mi, powołując się na głoszoną tak często teorię solidarności narodowej, czy wyznaniowej, więcej, może przytoczyć fakty postępowania jednostki czy grupy sprzeczne z jej interesami, a podyktowane solidarnością narodową czy wyznaniową, mógłby dać pozornie taki nieodparty przykład, jak udział w wojnie i ofiarność posuniętą aż do poświęcenia dobrowolnego życia dla ojczyzny ludzi — należących do klasy pracującej. Rzecz w tym, że solidarność w ustroju kapitalistycznym jest tylko pozorna. Hasło solidarności nie jest niczym innym, jak bronią, czy chwytem w walce konkurencyjnej wszystkich przeciw wszystkim. Jest w istocie aparatem do wyciągania z pieca gorących kasztanów cudzymi rękami, ściślej zdobywania dla garści uprzywilejowanych korzyści materialnych trudem i ofiarami szerokich mas. Istota solidarności musiałaby się wyrazić nie tylko w solidarnym prowadzeniu walki, ale i w solidarnym, tzn. równym spożywaniu czy korzystaniu z osiągniętego zwycięstwa, względnie równym ponoszeniu kosztów prowadzonej walki. Wynik każdej wojny, prowadzonej w ustroju kapitalistycznym, jaskrawo zaprzecza istnieniu takiej solidarności.

Wielka zasługa naszych autorów powieści społecznej, ogromna rola uświadamiająca tych powieści polega na tym, że podjęli oni skuteczny wysiłek odkłamania hasła solidarności narodowej. Myślę o powieściach Kruczkowskiego „Kordjan i Cham" i „Pawie pióra" i o Wasilewskiej „Ojczyźnie". W tym odkłamywaniu solidarności narodowej tkwi zarazem ich wartość i siła moralna. Dyskredytując bowiem zakłamaną solidarność świata kapitalistycznego, torują drogę do solidarności istotnej, możliwej jedynie w ustroju socjalistycznym, w społeczeństwie, gdzie jedna klasa nie będzie żyła kosztem innych, to znaczy w społeczeństwie bezklasowym.

Po za tym w ustroju kapitalistycznym, nawet w obrębie danej grupy ludzi, związanych wspólnymi interesami, może mieć miejsce tylko solidarność względna. Motor całego życia kapitalistycznego ustroju gospodarczego, konkurencja i jego podstawa, prywatna własność sprawia, że każda z tych grup jest solidarna tylko wobec przeciwnika, wewnątrz zaś grupy, w stosunku wzajem do siebie pozostają wszyscy w stanie ciągłej walki, stojąc na straży posiadanej prywatnej własności, w gotowości wyrwania czego się da słabszemu i osiągnięcia nad nim przewagi. Solidarność poszczególnych grup w ustroju kapitalistycznym może być z powodzeniem przyrównana do solidarności zgłodniałego stada wilków, goniącego i atakującego solidarnie upatrzoną ofiarę, co im nie przeszkadza rozszarpywać każdą słabszą sztukę w stadzie.

Własność prywatna, zasada wolnej konkurencji tkwią w istocie kapitalistycznych stosunków gospodarczo-społecznych, w związku z tym one, a nie ideały moralne chrystianizmu, pozornie obowiązujące, mają wpływ decydujący na postępowanie człowieka w ustroju kapitalistycznym. Od początku istnienia tego ustroju istniała sprzeczność między rzeczywistymi stosunkami a głoszonymi ideałami i zasadami moralności, w miarę rozwoju stosunków gospodarczo - społecznych w ustroju kapitalistycznym sprzeczność ta staje się coraz jaskrawsza, coraz też powszechniejsza staje się świadomość tego stanu rzeczy.

WACŁAW BIELECKI

Niema mglistych Londynów — Londyn jest tylko jeden

Ze Sztokholmu do Londynu pojechaliśmy samolotem. Po pięciu godzinach lotu nad morzem wynurzyła się przed nami, a właściwie pod nami — Wielka Brytania. Dziwnie mała wydawała się ta Wielka Brytania z lotu ptaka, z wysokości 2 tysięcy metrów. Mała i nieciekawa. Pola i pola z rzadka usiane osadami. Lecieliśmy widocznie nie przez tę właściwą, przemysłową Anglię.

Przyjemnie jest patrzeć Polakowi na Wielką Brytanię z góry. Przyjemnie i pouczająco. Odrazu człowiek wyzbywa się tego kompleksu niższości — właściwego przeciętnemu Polakowi w stosunku do Anglików i do wszystkiego co angielskie, co pachnie kulturą zachodu.

Ten lot nad W. Brytanią uznaliśmy za dobry omen naszej podróży. Tak mi się spodobała ta zabawa, że postanowiłem patrzeć na Anglię i Anglików z lotu ptaka — z góry.

Zmieńmy na chwile role — niech będzie Wielka Polska i Mała Brytania. Ale tymczasem samolot obniżył lot i wylądował na angielskiej ziemi na lotnisku w Croydon.

Przyjęcie w Londynie nie przypominało niczym owacji w Sztokholmie. Nikt nas nie czekał, — ani pan w baniaczku z MSZ — zwanym tu Foreign Office, ani przedstawiciel naszej ambasady. Mogliśmy powiedzieć za naszym wieszczem: „Jedźmy! nikt nie woła!" Ale tak jest tylko w poezji. Zanim mogliśmy wyjechać, musieliśmy zawrzeć bliższą znajomość z przedstawicielami angielskiej administracji — urzędem celnym, paszportowym itd.

I tu odrazu rzuciła się w oczy różnica pomiędzy urzędnikami w Szwecji i Anglii. W Szwecji przyjmują człowieka w urzędzie tak jak klijenta w sklepie, oczywista, za tych dobrych, pokojowych czasów, kiedy o klijenta kupcy dbali. Odnoszą się do Ciebie z wyszukaną uprzejmością, w mig spełniają wszystkie Twoje życzenia, a gdy dopełnisz formalności paszportowych dziękują Ci tak, jakbyś im zrobił wielką łaskę! Jeden minus — obsługa nie jest zanadto szybka. Ale zato solidna! Dadzą Ci odrazu na lotnisku wszystkie kartki, wszystkie wydrukowane wskazówki co masz robić, dokąd się udać — tak, że żadnych więcej formalności potym nie potrzeba załatwiać. W Anglii w urzędzie czuje się człowiek podobnie jak

w naszym komisariacie policji (przed wojną). Nie można powiedzieć nawet, żeby angielscy urzędnicy celni byli niegrzeczni, ale traktują człowieka z góry, szorstko, zasadnicze ich nastawienie — że każdy szmugluje walutę, lub przewozi kontrabandę. Podobnie jak na badaniu u sędziego śledczego wzięto mnie w krzyżowy ogień pytań, wobec tego obrałem system zwykle stosowany przez oskarżonych: „nic nie wiem, nic nie rozumiem, ja nie ja i chata nie maja”. Zniecierpliwieni urzędnicy obejrzeli mnie, moje rzeczy i moje dokumenty jeszcze raz podejrzliwie, wreszcie machnęli ręką i puścili na wolność. Wypuścić to wypuścili — ale co dalej? Co mam czynić po raz pierwszy zbłąkany na „londyńskim bruku”. Nikt się nami absolutnie nie interesował. W Sztokholmie odwieziono nas autobusem aż do hotelu. Tutaj trzeba było wziąć taksówki, ale to okazało się nielada zadaniem. Dostać taksówkę w Londynie, zwłaszcza na przedmieściu — to bardzo trudna sprawa. Udało nam się to wreszcie przy wydatnej pomocy angielskiej waluty wsuniętej dyskretnie portierowi na dworcu Wiktoria. W ten sposób dobrnęliśmy do naszej ambasady: Portland Place 47.

Po drodze mogliśmy się trochę przypatrzeć Londynowi. Pierwsze wrażenie w Sztokholmie było: Sztokholm jest piękny. Pierwsze wrażenie w Londynie: Londyn jest brzydki. Gdy przejeżdżaliśmy przez przedmieścia — ciągle dręczyła mnie myśl, że kiedyś już tutaj byłem i widziałem, podobne wrażenie przeżywałem. Ponieważ w Londynie przed tym nie byłem ani na jawie, ani we śnie, — ani prawdopodobnie w moim poprzednim wcieleniu — więc wniosek prosty... eureka! znalazłem podobieństwo! Londyn na pierwszy rzut oka przypomniał mi do złudzenia Chełm Lubelski, kiedy przyjechałem doń w lipcu 1944 r. — gdy stał się kilkudniową stolicą Polski. Ten sam styl, te same domy — na podobieństwo domów kolejowych u nas. Niewielkie, brzydkie domki z czerwonej cegły, jedno, 2-u lub 4-o rodzinne zupełnie jak w Chełmie. Tylko, że u nas ładniejsze — z polskim szykiem, a tu wszystko budowane z typowym angielskim brakiem gustu. W ogóle, Londyn, z wyjątkiem śródmieścia, osławionego City — nie robi wcale wrażenia wielkiego miasta. 300 Chełmów Lubelskich równa się 1 Londyn.

W ambasadzie czekano już na nas. Otrzymali naszą depeszę ze Sztokholmu i wiedzieli, że przyjeżdżamy. Nikomu jednak nie wpadło na myśl, żeby się pofatygować do nas na lotnisko. W Londynie nie ma tego zwyczaju. W Sztokholmie nie wiedzieli, że przyjeżdżamy, a jednak na wszelki wypadek oczekiwano nas na lotnisku. W Londynie wiedzieli, że przyjeżdżamy i na wszelki wypadek nie oczekiwali nas na lotnisku.

Taka jest różnica między Szwecją a Anglią. Im dłużej byłem w Londynie, tym bardziej zaczęła mi się podobać Szwecja i wszystko co szwedzkie. Okazało się jednak, że depesza nasza odniosła skutek, gdyż ambasada przygotowała dla nas locum. I tu, jak w Sztokholmie dwójka musiała się pomieścić w jednym hoteliku, a trójka w drugim, w całkiem innej dzielnicy.

Wszędzie ta sama kwestia mieszkaniowa, choć w Londynie nie wygląda ona tak tragicznie i ponuro jak w Warszawie, czy nawet w Sztokholmie.

Tak więc znalazłem się w typowym angielskim hoteliku-pensjonacie „Chambers" — Queens Gardens 35 wśród autentycznych wielkobrytyjczyków. Ale o tym później.

Drugi dzień jak na podróżujących z Baedeckerem w ręku przystało, poświęcony był na zwiedzanie miasta. A więc przede wszystkim City. „City głodnego nie zrozumie" — trawersował jakiś dowcipniś znane przysłowie. Ale dzisiejsze City wcale nie wygląda na syte. Londyn czyni wrażenie podupadłego magnata, który stara się jeszcze trzymać fason i zachować wielkopańskie maniery, ale w gruncie rzeczy schodzi coraz bardziej na psy.

Wrażenie podkreśla jeszcze fakt wielkiej ilości wojsk cudzoziemskich rozpierających się po Londynie. W szczególności amerykańskich, kanadyjskich i australijskich. Żołnierze ci zachowują się niezmiernie hałaśliwie, chodząc pod rękę z dziewczętami, awanturują się — nic zresztą szczególnego, żołnierze jak żołnierze. Tymczasem ludność tubylcza tzn. Anglicy, chodzą cicho, smutno, ze zwieszonymi głowami, unikają spotkań z cudzoziemcami. Nie dają tego po sobie poznać (angielska sztywność), ale chyba działa im to na nerwy i myślą sobie w duchu — jak długo jeszcze, obrońcy i sojusznicy, wystawiać będą na próbę ich angielską grzeczność i angielską cierpliwość i flegmę?

Jednym słowem Londyn robi wrażenie miasta okupowanego przez cudzoziemskie wojska. Może dlatego Anglicy są tak przewrażliwieni na punkcie okupacji i doszukują się jej wszędzie — ale oczywista, tylko daleko na wschód poza granicami swego kraju.

Kiedy już mowa o wyglądzie Londynu, mała dygresja na temat zniszczeń wojennych. Anglicy bardzo wiele lubią o tym opowiadać, robią filmy, propagują, stawiają Londyn za przykład ofiar, które W. Brytania poniosła w tej wojnie. Ale zniszczeń tych gołym okiem nie widać, albo prawie że nie widać. Można jeździć godzinami po Londynie i nie zobaczyć ani jednego zniszczonego domu.

Trzeba dopiero dobrze szukać i specjalnie na to się nastawić, żeby znaleźć ślady bombardowania. Jest np. koło słyn-

nego kościoła św. Pawła kilkadziesiąt domów zupełnie zrujnowanych — ale Anglicy już tak zdążyli poobstawiać murami, wyrównać, że można przejść i nie zwrócić na to uwagi.

Tak więc kilkuletnie bombardowania V1 i V2 wyrządziły w Londynie stosunkowo niewielkie szkody.

Mówić o zniszczeniach Londynu może tylko ten, kto mierzy ofiary w tej wojnie skalą zniszczeń Wielkiej Brytanii — czy w Zachodniej Europie, kto nie widział jak wygląda przeciętne miasto po wojnie w naszym kraju, czy na dawnych okupowanych terenach Związku Radzieckiego, nie mówiąc już o Warszawie czy o Stalingradzie. Przypomina to historię wyglądającą jak anegdota, którą opowiadał mi jeden z naszych rodaków z pobytu w Szwajcarii. Jak wiadomo na Schafhausen — miasteczko szwajcarskie—amerykańscy lotnicy rzucili przez pomyłkę 1 czy 2 bomby. Otóż naszego rodaka, który przyjechał prosto z Warszawy do Schafhausen obskoczyli Szwajcarzy i opowiadali mu na wyścigi o tych wszystkich okropnościach wojny: „Pan nie ma pojęcia, jakie to bombardowanie jest straszne".

Nie mam zamiaru opisywać tutaj zabytków Londynu — nic zresztą nie zmieniło się od czasu, gdy Baedecker został napisany Krążąc ulicami City nie widzi się nic charakterystycznego, na czymby się oko chciało zatrzymać. Gdyby mnie ktoś chciał zapytać czym różni się Piccadilly Circus od Trafalgar Square, to nie potrafiłbym odpowiedzieć. Wiem, że na Trafalgar Square stoi pomnik Nelsona — ale nie jestem pewien, czy na Piccadilly Circus także nie stoi Nelson. Wszędzie te same monotonne rzędy 5-cio piętrowych domów, te same szare obdrapane fasady — ten sam styl. A zabytki? zapytacie gniewnie, a słynny Westminster, a parlament, Tower, Tower-Bridge itd. itd.? — Tak, zabytków jest dosyć w Londynie i godnych ujrzenia. Anglicy nie potrzebują jak Szwedzi budować ratusza w XX wieku w stylu XIV wieku. Ale są to smutne pozostałości z dawnej świetności, które bardziej jeszcze podkreślają dzisiejszy upadek. Gdy wychodzi się z opactwa Westminster angielskiego Wawelu — człowiek ze smutkiem rozmyśla o wspaniałej historii tego kraju. I wydaje się jakby i dzisiejsza Anglia przeszła już do historii. Wszystko w Londynie mówi o przeszłości tego kraju — nic nie mówi o przyszłości.

City jest szare, smutne i ubogie. Domy szare, ludzie szarzy, wystawy sklepowe ubogie i zaniedbane i ruch, jak na Londyn bardzo mizerny. W nocy ani jednego neonu. Smutne, szare, podupadłe miasto. Nie widziałem, żeby się ktoś na ulicy śmiał w Londynie. Może to jest shocking, a może poprostu ludziom jest nie do śmiechu. Anglia nie robi wrażenia kraju, który wygrał wojnę. Widać natomiast na każdym kroku, że wojna za-

dała jej poważne rany i wyczerpała jej siły żywotne, obniżyła poziom życiowy, cofnęła wstecz w rozwoju. Anglia cofnięta jest o dobrych kilkadziesiąt lat w stosunku do przodujących krajów w Europie, nie mówiąc już o Stanach Zjednoczonych. I co ciekawsze, każda zwycięska wojna dystans ten powiększa. Jeśli do kogoś, to do Anglii można zastosować dzisiaj przysłowie o Pyrrusowym zwycięstwie!

Lecz pocóż mamy się przejmować losem Anglików, skoro oni się sami nie przejmują nim i znoszą go z iście angielską flegmą. Przyjmują z bierną rezygnacją fakt, że w sklepach nic nie można dostać, że obcina się racje żywnościowe, że przed restauracjami stoją kolejki i że trzeba nieraz pół godziny czekać na ulicy, żeby zjeść marny obiad za 5 szylingów (bo za więcej nie dadzą) i wyjść z powrotem nie syty ale głodny.

Byliśmy w najelegantszych lokalach Londynu — u Ritza, w Savoy itd. itd. wszędzie ten sam obraz — ludzie stoją w kolejce i patrzą na ciebie — kiedy nareszcie wstaniesz. Wszędzie nie ma co jeść — i wszędzie płacisz za to 5 szylingów.

Z paleniem jest bardzo źle, gorzej jeszcze niż w Sztokholmie. Kartek na papierosy wprawdzie nie ma, ale nie ma też i papierosów: Sprzedają tylko po jednej paczce, lecz nie łatwo jest znaleźć sklep, w którym tę jedną paczkę można dostać. Ponieważ sam jestem z zasady nie tylko anty-alkoholikiem, ale także anty-nikotynistą, więc mogłem służyć za strohmana dla jednego z naszych kolegów i przy szczęśliwej okazji kupować dla niego paczkę papierosów. Niestety, rzadko mogłem oddawać tego rodzaju koleżeńskie usługi. W ogóle nie łatwa to rzecz robić zakupy w Londynie — przynajmniej dla cudzoziemców.

Chcieliśmy wszyscy zgodnie z tradycją i Baedeckerem przywieźć swoim najbliższym jakieś upominki z Londynu — chodziliśmy godzinami po sklepach i skończyło się na tym, że kupiliśmy notesiki na rok 1946, bo nic lepszego bez kartek nie można było dostać.

Szukaliśmy fajeczki, bez której prawie nie można sobie wyobrazić Anglika — w całym Londynie nie mogliśmy dostać ani jednej fajki. O ojczyzno Sherlocka Holmesa — jakże nisko upadłaś! Trzeba jednak obiektywnie stwierdzić, że w Anglii panuje naprawdę wielka dyscyplina społeczna. System kartkowy, to system kartkowy. Czarnego rynku nie ma. Nie wolno sprzedawać bez kartek, to nie sprzedaje się — albo prawie się nie sprzedaje, — tak jak skoro nie wolno się pchać do autobusu czy tramwaju, to nikt nie wyskakuje i nie pcha się. Oczywiście z wyjątkiem Amerykanów! Podczas naszego pobytu gazety rozpisywały się szeroko z wielkim oburzeniem o jakichś machinacjach z kartkami. Winni otrzymali bardzo surowe wyroki.

I to wszystko nie wytykając palcem bez nadzwyczajnej komisji do walki z nadużyciami.

Dyscyplina społeczna to jest to, czym Anglicy mogą rzeczywiście zaimponować.

Kartki aprowizacyjne i odzieżowe otrzymaliśmy dopiero pod sam koniec pobytu po bardzo skomplikowanej procedurze. Najpierw musieliśmy się zameldować w policji, gdzie rejestrują wszystkich cudzoziemców — tu otrzymaliśmy legitymację z fotografią. Po wypełnieniu szeregu formularzy i uprzednim sfotografowaniu się. Zajęło nam to pół dnia stania, a ściślej siedzenia w ogonku. Przy ścianie bowiem wielkiej sali, gdzie pracują urzędnicy policji, znajduje się około 100 krzeseł. Ludzie przesuwają się z jednego krzesła na drugie — aż przyjdzie na nich kolejka stanąć przed obliczem urzędnika, który zresztą bardzo grzecznie załatwia klijentów — każe się tylko kilkanaście razy podpisać. Gdy się jest opatrzonym już w kartę rejestracyjną, trzeba przejść do komisariatu policji, zameldować się (znowu jeden dzień), a potym dopiero do urzędu aprowizacyjnego, gdzie wydaje się kartki, tzn. nie wydaje się na miejscu, tylko znowu wypełnia się odpowiednią ilość kwestionariuszy, formularzy — przechodzi przez krzyżowy ogień pytań — a kartki odsyłają ci nazajutrz pocztą, abyś się sam nie potrzebował fatygować. Gentlemeni!

W rezultacie całej tej operacji otrzymaliśmy kartki wtedy — kiedy już praktycznie nie mogliśmy z nich skorzystać. Ale zato co to były za kartki! Cała książeczka z różnokolorowymi okładkami drukowanymi i nie drukowanymi — aż miło patrzeć. Studiowanie tej książeczki zajęło nam kilka godzin czasu. Ale gdy pragnęliśmy zgodnie ze wskazówkami w niej zawartymi zamienić kartki na realną aprowizację to okazało się, że albo nie ten kolor, albo nie te dziurki, albo nie ten dzień, że jedno za tydzień, inne za dwa tygodnie. Postawiliśmy jednak na swoim i otrzymaliśmy w końcu po paczce czekolady i 2 pudełka sardynek na głowę.

Dalszych prób nie podejmowaliśmy w obawie, że każą nam za każde dalsze pudełko sardynek znowu wypełniać formularz i podpisywać się. Przypomina się dobre, chociaż niemieckie powiedzenie — Warum so einfach, wenn man so kompliziert machen kann? — (Dlaczego tak poprostu, kiedy możesz zrobić tak skomplikowanie?).

Mimo niepowodzeń na froncie aprowizacyjnym postanowiliśmy spróbować szczęścia na froncie odzieżowym. Jeden z kolegów z naszej ekipy, który przybył tu w napół oficjalnej misji, musiał kupić ciemne ubranie, żeby móc tę misję doprowadzić do skutku. W Anglii bowiem ludzie chadzają jeszcze przy

wszystkch możliwych okazjach w cylindrach, smokingach, równo, sztywno, z bukietem w ręku. Takich facetów można w biały dzień spotkać na ulicach Londynu i policjanci wcale ich nie zatrzymują. (Wiadomo — dobroduszność angielskich Bobby — znana z powieści kryminalnych!). Ale wróćmy do garnituru naszego kolegi. Otóż zebraliśmy wszystkie nasze kartki po angielsku do jednej puli — ale okazało się, że za to możemy dostać w najlepszym razie jedną nogawkę do spodni. Zrobiliśmy więc zbiórkę kuponów w ambasadzie i po pewnych machinacjach, których tu nie chciałbym ze zrozumiałych względów odkrywać, udało nam się zebrać odpowiednią ilość kartek odzieżowych i zakupić za 17 funtów angielskich konieczny garnitur.

Była to jedyna realna zdobycz wywieziona z Londynu. Bo jeśli chodzi o oficjalną misję, to wyszły z niej — nici.

Jednym słowem, Anglicy nabili nas na funty, dokładnie na 17 funtów. Ale — a propos misji. Było to tak: najpierw napisaliśmy list do jednego z dostojników, który zaczynał się „Dear Sir" i kończy się „Yours sincerly". Co przetłumaczone na język zrozumiały brzmi: „Przyjechaliśmy poto a poto, i chcielibyśmy, jeśli to jest możliwe zawrzeć z Szan. Panem niezwykle cenną znajomość (jeśli Pan pozwoli, oczywiście) i omówić niezwykle ważne, interesujące nas obopólnie sprawy, jeśli Pan uzna to za stosowne...

Po trzech dniach otrzymaliśmy odpowiedź („Dear Sir — Yours sincerly"). Pięć razy „thank you i I'am sorry" — co przetłumaczone na język ludzki brzmiało mniej więcej: „Dziękuję Panu bardzo uprzejmie za pański miły i cenny list, lecz niestety (I'am sorry) muszę Panu donieść, że jestem na urlopie, choć w Londynie. Jednakże nie chciałbym pominąć tak wyjątkowej okazji poznania Pana, to też byłoby mi niezwykle miło ujrzeć Pana u siebie dnia X. J. Z. (za 10 dni) jeśli ten termin, oczywiście Panu dogadza". W odpowiedzi na to wystosowaliśmy jeszcze jeden list: „Dear Sir — itd." — „Bardzo jesteśmy wdzięczni Panu za pańską propozycję i dogadza nam ona całkowicie, musimy jednak z żalem zaznaczyć, (I'm sorry), że w dniu oznaczonym przez Pana będziemy już w Warszawie i pozostaną nam po Londynie tylko wspomnienia dobrze załatwionych interesów. Dzień naszego wyjazdu przypada na X. J. Z. itd. Na to otrzymaliśmy jeszcze jeden list, w którym „Dear Sir" proponuje nowy termin, na dzień przed naszym wyjazdem i prosi o potwierdzenie tego terminu, jeśli nam to oczywiście dogadza. Potwierdziliśmy ten termin z wdzięcznością oczywiście i życzyliśmy mu z całej duszy, żeby go szlag trafił, jeśli mu to oczywista dogadza. Po tej wymianie grzeczności nastąpiło spotkanie — uścisnęliśmy sobie dłonie, podziękowali raz jeszcze za

uprzejme przyjęcie, a potym twardo — postawiliśmy swoje postulaty i swoje propozycje. „Dear Sir" był tym bardzo zaskoczony i oświadczył, że udzieli nam na wszystkie te sprawy piśmiennej odpowiedzi, jeśli nam to oczywiście dogadza. Ponieważ nam to jednak nie dogadzało — pożegnaliśmy się wprawdzie nie całkiem po angielsku — ale sztywno i chłodno — i szlus.

Taka była nasza pierwsza lekcja angielskiego załatwiania interesów. Ale wróćmy do zwyczajów i obyczajów tubylców. Moglibyśmy je znakomicie obserwować w naszym Bordinghausie. A ten Bordinghaus to rozdział dla siebie.

Taki angielski pensjonat, w którym ludzie samotni i nie samotni, mieszkają latami — przez całe życie.

Kiedy weszliśmy tam pierwszy raz do sali jadalnej, w której zjada się śniadania i kolacje — to wydawało nam się, że jesteśmy w teatrze, albo mamy przed sobą ucieleśniony sztych angielski, ilustrujący nieśmiertelnego Pickwicka. Stare zasuszone ciocie, tzw. Ladies — siedzą za stolikami. Obłożone ze wszystkich stron słoiczkami i flaszeczkami z masłem, sosami wszelkiego rodzaju i prowadzą rozmówki z Ollendorfa: „Jak pani spała ostatniej nocy". „Dziś pogoda niemożliwa" jedząc przy tym nieśmiertelny „porridge" i zagryzając niemniej nieśmiertelnym toastem. Gentlemeni, w czarnych ubraniach, zatopieni w „Daily Mail" rzucają od czasu do czasu „how do you do", zagryzając jakimś ersatzem „ham and eggs". Trwa to jakieś pół godziny, potym panie wstają, zabierając swoje sosiki, flaszeczki, mówią oczywiście „thank you" i odchodzą. Gentlemani składają gazety, mówią „thank you" i odchodzą. Przy następnym posiłku historia ta powtarza się z idealną dokładnością. Wszyscy siedzą na tych samych miejscach tak samo sztywno, prowadzą te same rozmówki i czytają te same gazety, odsiedzą te same pół godziny, mówią to samo „thank you" i odchodzą.

Atmosfera przypominała do złudzenia książki Dickensa i czekałem, że lada chwila wejdzie Sam Webster, ukłoni się szarmancko i zaanonsuje: „Sir Pickwick ladies and gentelmen". Nic, absolutnie nic się nie zmieniło w zwyczajach i obyczajach Anglików od czasów Dickensa. Po kolacji całe towarzystwo udawało się do saloników Bordinghausu, gdzie damy robiły robótki, a panowie palili cygara, o ile je mieli. Raz z ciekawości również wszedłem do salonu — zagłębiłem się w fotelu, wziąłem książkę do ręki, zacząłem czytać i czekam co będzie dalej. Niedługo czekałem. Po paru minutach nadeszła gospodyni i wyraźnie zgorszona kazała mi opuścić pokój. Coś do mnie mówiła, prawdopodobnie tłumaczyła jakie przestępstwo w przez stulecia uświęconym rytuale pensjonatu popełniłem. Ale

ponieważ nie zbyt dobrze rozumiem angielski język Anglików, nie wiem do dnia dzisiejszego o co tej babie chodziło. Może usiadłem w fotelu, w którym powinien siedzieć kto inny, może był to pokój tylko dla pań, może w tych godzinach nie wolno czytać książki — sam diabeł by się nie poznał! W każdym razie dama była tak podekscytowana, że dostała wypieków.

Od tego niefortunnego występu omijałem starannie salony Bordinghausu i przestałem również przychodzić do jadalni, aby nie mącić Dickensowskiej atmosfery i nie zmuszać kelnerki do wzgardliwego wzruszania ramionami i patrzenia na mnie jak na wariata — gdy na sakramentalne pytanie: „Porridge please?" odmawiałem stanowczo po naszemu zwanej „manna kasza", którą każdy Anglik od setek las spożywa co rano z nabożeństwem. Jeśli chodzi o drugi sakramentalny posiłek ham and eggs (jajka z szynką), to przypomina się znane powiedzenie: gdybym miał szynkę, to zrobiłbym jajecznicę z szynką, ale nie mam jajek. Nie, nie nadajemy się my do angielskich pensjonatów. Gdy wydostałem się na palcach na ulicę (żeby nic nie utracić z tego Dickensowskiego domu) — to byłem zdumiony, że nie widać wszędzie dyliżansów, że jeżdżą auta choć prawdę powiedziawszy, taksówki w Londynie przypominają raczej staroświeckie karoce. Są półokrągłe lub sześciokątne i siedzenia poustawiane wzdłuż ścian — tego rodzaju antyki można spotkać chyba tylko w Londynie.

Trochę się jednak zmieniło w Anglii od czasów Dickensa. Ludzie zachowali wprawdzie te staromieszczańskie przywary, które Dickens wytykał, ale stracili zmysł humoru i dlatego życie w Anglii stało się strasznie nudne.

I jeszcze jedno co rzuca się w oczy — rozluźnienie obyczajów. Młodzi ludzie, nie tylko żołnierze amerykańscy, całują się bez żenady na ulicy, w autobusach i metro, obejmują się czule itd itd., a jeśli udać się wieczorem do Hyde Parku, to można zobaczyć na trawie i na ławkach takie sztuki, o których się filozofom nie śniło. I to w bardzo niedalekim sąsiedztwie kaznodziejów i sekciarzy, którzy nawracają niewiernych i śpiewają psalmy. Człowiek przeciera oczy: i azali to Londyn, ów purytański i cnotliwy Londyn, czy Sodoma i Gomora? Aby dopełnić obrazu dzisiejszego Londynu — nie sposób pominąć zagadnienia demokracji tzw. typu zachodniego, czyli po prostu demokracji burżuazyjnej. Oczywiście po niespełna dwutygodniowym pobycie w Londynie można mówić jak wygląda demokracja angielska tylko z lotu ptaka.

A więc przede wszystkim sprawa wolności prasy, z którą mieliśmy sposobność zetknąć się, a właściwie potknąć się osobiście. Byłoby oczywiście nonsensem twierdzić, że w Anglii

nie ma wolności prasy. Ale jest to wolność bardzo swoista i bardzo ograniczona.

Taka właśnie wolność, jaka może być w demokracji typu zachodniego. Robotnik np. jest formalnie wolny, może się nająć do pracy do fabrykanta albo i nie — wolna wola. Ale faktycznie? Jeżeli nie pójdzie do roboty, to poprostu zdechnie z głodu. I to jest jedyna jego wolność. Pozwalają mu łaskawie z dobrej i nie przymuszonej woli umrzeć z głodu. Ale ponieważ większość woli jednak zrezygnować z tego przywileju i żyć, więc musi się nająć do roboty u fabrykantów. Nie wolność lecz twardy, bezwzględny przymus ekonomiczny — oto podstawowe prawo rządzące ustrojem typu zachodniego. Wolność ma tylko ten, kto ma pieniądze i pełną wolność eksploatowania innych ludzi. Tak samo jest i z tą wolnością prasy.

Na pierwszy rzut oka — wszystko jest w najlepszym porządeczku — wolność aż miło. Churchill wymyśla Atlee, Atlee wymyśla Churchillowi — i żaden nie idzie do kryminału. Oczywiście wymyślają sobie w stylu angielskim, którego próbki mieliśmy już sposobność poznać. Np.: „Ech ty stary ośle, jeśli tak wolno się wyrazić!" „Idź pan do diabła — jeśli to panu, oczywiście dogadza!" Ale jeśli przypatrzeć się tej wolności prasy trochę bliżej — to sprawa wygląda nieco inaczej.

Oto np. po przyjeździe do Londynu zapragnęliśmy podać do prasy wiadomość o naszym przybyciu, celu wizyty i ewentualnie opowiedzieć Anglikom za pośrednictwem prasy trochę o Polsce dzisiejszej.

Dziennikarze polscy, znający stosunki angielskie powiedzieli nam odrazu: wybijcie to sobie z głowy, nikt wam nic nie zamieści, chyba „Daily Worker", organ komunistyczny. My jednak mieliśmy świeżo w pamięci wywiady i fotografie w prasie szwedzkiej i postanowiliśmy spróbować szczęścia. Wkrótce jednak przekonaliśmy się, że sceptycy mieli całkowitą rację — mimo iż PAP podał obszerny komunikat o naszym przybyciu i rozesłał do wszystkich gazet — mimo iż rozmawialiśmy osobiście z wielu dziennikarzami — w prasie nie ukazała się na ten temat ani jedna wzmianka — absolutnie nic, głuche milczenie. I wcale nie dlatego, że temat był nie interesujący, lub mało ważki, przeciwnie — dziennikarze słuchali nas z dużym zainteresowaniem, zadawali mnóstwo pytań — zapisywali fakty, ale do prasy nie przedostało się nic. I sami dziennikarze uprzedzali nas: „nie czas o tym teraz pisać, może później". Oni sami chętnie by napisali i otrzymali swoje wierszówki, publiczność bardzoby się tym interesowała. Ale redaktorzy, ale wydawcy! W tym sęk.

Redaktorzy i wydawcy woleli pisać co innego. W całej prasie angielskiej właśnie w tym czasie toczyła się gwałtowna kampania przeciwko wysiedlaniu Niemców z naszych ziem zachodnich. Gazety prześcigały się we wstrząsających opisach polskich okrucieństw, roztkliwiały się humanitarnie nad losem biednych prześladowanych dzieci, kobiet i starców niemieckich; no i oczywiśce nie szczędziły siarczystych epitetów pod adresem polskich barbarzyńców, nie pytając wcale, czy nam to dogadza. Taka to wolność prasy w Anglii.

Wolno pisać wszystkie łgarstwa i oszczerstwa pod adresem Polski — bo tego chcą wydawcy i ci, którzy stoją poza tymi wydawcami. Ale nie wolno pisać prawdy o Polsce dzisiejszej— choć prawdy tej chcą masy angielskie. A ponieważ wydawcy, spółki kapitalistyczne i ci, którzy poza nimi stoją, mają w rękach olbrzymią większość całej prasy — więc w praktyce wolno pisać w Angli tylko to, co zgodne jest z interesami tych panów. Wszystko inne jest „tabu".

Jeszcze jeden jaskrawy przykład z własnych doświadczeń. Po długich a ciężkich cierpieniach i zabiegach — zaproponowano jednemu z naszej ekipy przemówienie przez radio.

Tekst przemówienia trzeba było przedłożyć dwa dni wcześniej. Cenzorom nie spodobało się kilka zdań i zażądano ich wykreślenia. Zgodziliśmy się na to. Gdy przyszło do samego wygłaszania tekstu przed mikrofonem rozegrała się w rozgłośni w studio niezwykła zaiste scena. Pewna dama posiadająca kopię przemówienia, zwróciła prelegentowi uwagę, że obowiązany jest trzymać się ściśle tematu. W razie jakichkolwiek zmian zmuszona będzie wyłączyć mikrofon.

Przez cały czas przemówienia cenzorka siedziała w studio obok prelegenta, śledząc dokładnie tekst z ręką na wyłączniku. Oto próbka wolności słowa w Wielkiej Brytanii. Nie ma w tym zresztą nic strasznego prócz formy, w jakiej się to odbyło.

Jasne jest, że Anglicy nie mają zamiaru tolerować, aby ktoś używał ich radia przeciw ich interesom — trudno im to wziąć za złe. Tylko poco ten krzyk o wolności prasy i słowa i to rozdzieranie szat nad biednymi narodami, pozbawionymi tej wolności, którą bardzo chętnie Aglicy chcieliby przywieźć w podarunku nie pytając zresztą wcale zainteresowanych czy im to dogadza.

Na zakończenie jeszcze kilka słów o emigracji polskiej w Anglii. Temat przykry, więc starałem się odwlec jak długo było można. Sytuację można określić jednym słowem — rozkład. Rozkład i zupełna dezorientacja. Wszystkie dotychczasowe plany zawiodły. Przed każdym staje pytanie: co dalej? Podstawowy hamletowski problem: „wracać, czy nie wracać?"

Chcieliby i boją się. Jakoś się tu urządzili, jakoś przywykli i zżyli z otoczeniem i choć dręczy nostalgia — boją się nieznanego — boją się trudów i niewygód, ale przede wszystkm boją się, że ich wyślą na Sybir. Wydaje się to wprost nieprawdopodobne, jak, skądinąd rozumni nawet ludzie wierzą bezkrytycznie w najgłupsze bzdury i oszczerstwa wrogiej propagandy. O sowieckiej okupacji, o Sybirze, o masowym wymieraniu dzieci itd. itd. Wszyscy gorączkowo interesują się tym, co się dzieje w kraju. wypytują do nieskończoności. Ale tak, jak bezkrytycznie gotowi są uwierzyć w każdą bzdurę, tak nieufnie początkowo są nastawieni do prawdy o Polsce.

Wydaje się jakby się bali i obwarowywali przeciw prawdzie. Przecież ta filozofia życiowa stanowiła jedynie usprawiedliwienie ich bierności, ich gnicia na obczyźnie wtedy, gdy u nas buduje się nowe życie.

Najprzykrzejszy jednak rys większości naszych rodaków spotkanych w Anglii — to nieprawdopodobny serwilizm w stosunku do gospodarzy. Wszystko cq angielskie uważają za lepsze — sami siebie za niższą rasę, której zadaniem jest służyć Anglikom — panom stworzenia. Gdy chcieliśmy się zobaczyć z wyżej wzmiankowanym dostojnikiem nasi usiłowali nas odwieźć od tego nieopatrznego kroku.

„Nie przyjmie Was!", „Poco, aż tak wysoko!", „Można te sprawy załatwić inaczej", „Trzeba najpierw poznać się z urzędnikami, zjeść z nimi lunch, przygotować grunt itd. itd."

A gdy w rozmowie z samym dostojnikiem pozwoliliśmy sobie na zdecydowane stanowisko — rodaków naszych opanowała dosłownie panika. „Co będzie, co się stanie? Co zrobią panowie stworzenia?"

Smutne jest, że w atmosferze demokratycznej Angli, wolności, równości i braterstwa — może się zrodzić taki serwilizm. Tym smutniejsze, że chodzi tu przecież o naszych rodaków.

*

*   *

Odjechaliśmy z Anglii samolotem. Gdy wzbiliśmy się w powietrze — odetchnęliśmy głęboko. Jakoś lżej się zrobiło po tych 12-tu dniach męczących, ciężkich i szarych. I jakoś niespodziewanie przypłynęła strofa dawno zapomnianego wiersza:

„Niema mglistych Londynów —
Londyn jest tylko jeden —
Ten, który wlewa do źrenic,
Nieba radosny seledyn". —

Niebo było seledynowe i radosne. Patrzyłem na Londyn — znikał w oddali szary, smutny i mały.

Przyjemnie jest patrzeć na Wielką Brytanię z lotu ptaka. Przyjemnie i pouczająco.

ZYGMUNT MŁYNARSKI

Szlakiem hańby i zdrady narodu

(Na marginesie procesu Draży Michajłowicza)

Andrie Simon, czołowy publicysta czechosłowacki, bawiący w roli obsewatora na procesie Draży Michajłowicza w Belgradzie, oświadczył: „Widzieliśmy nieraz przed sądem zwyczajnego generała — i to nie robi wrażenia. Ohydne jednak wrażenie wywołuje tchórzliwe zachowanie tego niedawnego jeszcze bohatera pewnych sfer".

Na sali sądowej, znajdującej się w gmachu byłej Gwardii Królewskiej pod Belgradem, odpowiada przed Najwyższym Trybunałem Narodowym Draża Michajłowicz. Akt oskarżenia obejmuje tylko lata od 1941 do 1945 roku, a więc krótki odcinek życia podsądnego, ale odcinek najbardziej ważki. Wypadki rozwijające się w błyskawicznym tempie, wysunęły w tych latach Drażę Michajłowicza na czoło życia społecznego. Wypadki te uczyniły z nikomu poprzednio nieznanego generała, reklamowanego przez pewne czynniki szeroko „bohatera", twórcę tak zwanej „Armii Jugosłowiańskiej w kraju", ministra obrony narodowej rządu Jego Królewskiej Mości Piotra Drugiego, z Londynu czy Kairo wysyłającego swe rozkazy, wypadki te z nieubłaganą konsekwencją doprowadziły też Drażę Michajłowicza przed Trybunał Narodu, który ma go sądzić za najwyższą zbrodnię — za zbrodnię zdrady narodu.

Jak stwierdzają zgodnie sprawozdawcy zagraniczni, Draża Michajłowicz wygląda dobrze i zdrowo, w więzieniu przybyło mu nawet dwadzieścia kilogramów. Na tej samej sali sądowej powszechne zainteresowanie budzi przeraźliwie chuda postać dwudziestoletniego chłopca, obserwującego bacznie przebieg procesu. Na proces ten przybył chłopiec pieszo aż ze Splitu. Rozchyla się czasem chłopcu koszulina na piersiach, odsłaniają się wtedy sińce i blizny od pchnięć bagnetów. To pamiątka po Michajłowiczowskich zbirach, którzy chłopca, łącznika oddziałów partyzanckich marszałka Tito, schwytali,

bezlitośnie zbili i jak sito pokłuli bagnetami. Chłopiec cudem pozostał żywy i dzisiaj na sali sądowej wpija swój wzrok, który już własną śmierć oglądał, w „dobrze wyglądającego" swego kata — Drażę Michajłowicza. Śledzą bacznie przebieg procesu i inni obserwatorzy. Oto matka jednego z trzystu siedemdziesięciu pięciu partyzantów, których czetnicy Draży Michajłowicza wzięli do niewoli i za wiedzą swojego wodza — odstąpili Niemcom, którzy wszystkich rozstrzelali. Oto znów ojciec zamordowanego przez bandy Michajłowicza patrioty. Lecz sala sądowa jest zbyt szczupła, aby pomieścić tych wszystkich, którym bandyci „ministra Jego Królewskiej Mości" pozbawili ojców, synów, braci, za to tylko, że ośmielili się walczyć z okupantem o wyzwolenie narodowe i społeczne.

Niekończącym się łańcuchem potwornych zbrodni i ohydnych zdrad najświętszych interesów narodu, wiła się działalność Draży Michajłowicza w latach okupacji. W tym samym czasie, kiedy na wezwanie Józefa Broza-Tito, ruszył do walki z hitlerowską gadziną serbski chłop, macedoński góral, czy chorwacki robotnik, w tym samym czasie Draża Michajłowicz rozkazywał swojej „Jugosłowiańskiej armii w kraju" czekać z bronią u nogi. Jednocześnie jednak bandyckie hordy mordowały na jego rozkaz jugosłowiańskich patriotów z partyzanckich oddziałów, jednocześnie on sam porozumiewał się z Quislingiem-Nediczem. Bo już we wrześniu 1941 roku Draża Michajłowicz wysłał delegację do Nedicza celem ustalenia wspólnej akcji przeciwko armii wyzwoleńczej Tito. A nie zapominajmy, że w sierpniu tegoż roku, Tito, chcąc za wszelką cenę nie dopuścić do rozbicia jedności narodu w walce z okupantem, zawarł z Michajłowiczem układ, przewidujący wspólną akcję przeciw faszystowskim i hitlerowskim agresorom. W kilka zaś dni zaledwie później Draża Michajłowicz złamał ten układ i zdradziecko napadł na oddziały partyzanckie. Wrześniowy układ zawarty między Nediczem a Michajłowiczem przeciwko partyzantom, przewidywał wzajemną pomoc finansową i wojskową. Nedicz zobowiązał się dostarczyć czetnikom Michajłowicza broń otrzymaną od Niemców. Broń ta miała być skierowana przeciwko armii narodowo-wyzwoleńczej. Już od listopada 1941 roku rozpoczął Michajłowicz bezpośrednią współpracę z Niemcami. Na konferencji jego pełnomocników, odbytej w sztabie niemieckich sił operacyjnych w Jugosławii, ustalono wspólną akcję czetników i Niemców przeciw armii narodowo-wyzwoleńczej. Oddziały czetników Michajłowicza były zaopatrywane przez niemców w żywność i ekwipunek. Oddziały te schwytanych partyzantów oddawały w ręce niemieckie celem „wykończenia". Tak samo „serdeczne" stosunki

łączyły Michajłowicza z Włochami, od których oddziały jego otrzymywały broń, amunicję i środki transportowe. Sto milionów dynarów wynosiło miesięczne subsydium płacone przez okupantów dla czetników Michajłowicza, pod warunkiem prowadzenia walki z oddziałami partyzanckimi. Łańcucha zdrad, podłości i ohydy nie przeciął nawet rok 1945. Bo, gdy Armia Czerwona gnała zdychającą bestię hitlerowską do jej legowiska, aby ją tam dobić, wtedy jeszcze Michajłowicz próbuje nawiązać kontakt i ofiaruje swe usługi tragicznemu błaznowi — „pogłownikowi" Paweliczowi.

Zasiadł więc na ławie oskarżonych w Belgradzie Draża Michajłowicz wraz z trzynastoma wspólnikami. Nie budzące żadnej wątpliwości dokumenty, opatrzone podpisem Draży Michajłowicza, stwierdzają zbrodnię najcięższej zdrady, jaką można popełnić, zdrady własnego narodu. Jako jedyne tłómaczenie, obok gołosłownych zaprzeczeń, podaje Draża Michajłowicz, że działał tylko na rozkaz swoich chlebodawców i morderców z zagranicy. To instrukcje emigracyjnego rządu w Londynie zabraniały mu atakować okupantów, to te same instrukcje nie zabraniały walczyć z ruchem narodowo-wyzwoleńczym. Michajłowicz zeznał, że z emigracyjnym rządem w Londynie, czy jego ekspozyturą w Kairo utrzymywał żywy kontakt drogą radiową. Podkreślał mocno w swoich zeznaniach, że tak jego dokładne sprawozdania jak i instrukcje rządu, według których postępował, przechodziły zawsze przez surową cenzurę brytyjskich oficerów łącznikowych, którzy byli dokładnie poinformowani o wszelkich jego poczynaniach... Ze strony swoich istotnych mocodawców nie spotkał się Michajłowicz nigdy z głosem krytyki. I mimo, że mocodawcom tym znana była haniebna, ohydna zdrada narodu przez Drażę Michajłowicza, ustawicznie pasowali go na bohatera narodowego, a jeszcze i dzisiaj, kiedy wyszedł na jaw bezmiar jego zbrodni i podłości, usiłują znaleźć dla zdrajcy usprawiedliwienie. Są to bowiem ci sami mocodawcy, co już po wyzwoleniu Jugosławii stworzyli opozycję Groll-Subasicz, ci sami, co w Bułgarii tworzą trudności w akcji konsolidacji narodu dla odbudowy kraju, co w Rumunii cuchnącą naftą łapę wyciągali do kata ludu rumuńskiego, straconego niedawno Antonescu, co w Polsce uzbrajają bandytów leśnych i wspierają wszelkimi środkami tych, którzy głosowanie ludowe usiłowali wyzyskać dla rozbicia jedności narodu, usiłują jeżeli nie udaremnić, to opóźnić dzieło odbudowy. Mocodawcy Michajłowicza są jednocześnie mocodawcami Raczkiewiczów, Borów, czy Andersów. Znamy wszyscy ich imiona — określamy ich nazwą zbiorową — reakcja.

Ta reakcja właśnie i to krajowa i zagraniczna, uzbrajała w niemiecką i włoską broń bandy czetników Michajłowicza do walki z ruchem narodowo-wyzwoleńczym Jugosławii. Bo dla reakcji właśnie lepsze jest nawet panowanie okupanta, aniżeli zwycięstwo w walce z okupantem ludu, który obszarników pozbawi ziemi, a fabrykantów zakładów przemysłowych, który zniesie panowanie krzywdy, wyzysku i nędzy. Dobry jest dla reakcji każdy środek walki z własnym narodem, nawet, chociażby piętno zdrady narodowej było na nim wyciśnięte.

Zasiadł więc na ławie oskarżonych w Belgradzie Draża Michajłowicz wraz z trzynastu wspólnikami. Ale postać ta, która tylko uczucie wstrętu i odrazy może wywołać, jest jedynie synonimem sił wstecznych, które za wszelką cenę zatrzymać chcą w biegu koło historii tych sił, co własnym narodom, ich żywotnym interesom, nieubłaganą walkę — wydały.

Na ławie oskarżonych w Belgradzie doczekała się sprawiedliwego wyroku własnego narodu — jego najzaciętszy wróg — reakcja!

WŁADYSŁAW PIOTROWSKI

Przeżycia i wspomnienia partyzanta

Z teki Instytutu Pamięci Narodowej

W czerwcu 1941 roku władze niemieckie podały nam do wiadomości, że byli policjanci polscy mają prawo ubiegania się o zwolnienie z niewoli. Znalazło się takich jedenastu. Po kilku dniach sporządzono listę wyżej wspomnianych. Miałem przyjaciela Janka Stypułkowskiego, który pracował w biurze naszego stalagu (VB). Przyszedł wieczorem z biura i oznajmił, że zapisał mnie na listę b. policjantów.

— Cóżeś ty zrobił! — zawołałem.

— A co, pojedziesz do domu i wyrwiesz się z niewoli. Tacy jak ty przydadzą się w Polsce.

— Jak to zrobiłeś, Janku?

— Po prostu. Wyjąłem z kartoteki twoją kartę, w rubryce „zawód" napisane było fotograf, ja dopisałem policjant i jesteś fotografem policyjnym, rozumiesz? A teraz trzymaj się tego zawodu i zobaczysz jak wyrwiesz się na wolność. Gdy-

by ci przyszło nawet służyć w policji, to wierzę, że się nie zmienisz, a raczej pomożesz rodakom.

Po zastanowieniu, przyznałem rację Jankowi.

Przeszło pół roku. Ni stąd, ni zowąd wezwano mnie do biura, było to 15 czerwca 1942 roku, i oznajmiono mi, że z dniem jutrzejszym tj. 16 czerwca jestem zwolniony z niewoli i bilet dostaję do Krakowa, gdzie mam się zameldować w policji niemieckiej. Zostałem niemile zaskoczony, po pierwsze, że nie do Warszawy, skąd pochodzę, a po drugie, że mam się zameldować w policji niemieckiej, a nie polskiej. Załatwiał wszystko oberfeldfebel. Oświadczyłem mu, że ja miałem jechać do Warszawy, a nie do Krakowa i do policji polskiej. Oberfeldfebel odpowiedział mi, że w Krakowie mieści się główna komenda policji, a stamtąd odeślą mnie do polskiej policji.

Z Villingen (Schwarzwald) do Krakowa jechałem trzy doby. Po zameldowaniu się w Krakowie odesłano mnie do Dębicy. Znowu mówię, że ja jestem z Warszawy i tam miałem być skierowany.

Ależ tak! — odpowiedział bardzo grzecznie załatwiający mnie oberleutnant policji niemieckiej, przytem uśmiechał się, z dobrze maskowaną ironią. W Dębicy jest szkoła polskiej policji, mimo że pan jest fotografem, to jednak musi pan przejść przeszkolenie. Jak tylko pan się zamelduje w Dębicy, z miejsca dostanie pan 14 dni urlopu, przysługującego każdemu przybywającemu z niewoli.

Po załatwieniu formalności opuściłem komendę policji. Idąc ulicami Krakowa w kierunku dworca, zacząłem rozmyślać nad tym, co zrobiłem, dobrze czy źle? Czułem podstęp. Ten oberleutnant — niby grzeczny i uprzejmy, jednocześnie wydał mi się taki wstrętny z tym swoim uśmiechem. Postanowiłem jechać do Dębicy, choć miałem chwilami zamiar jechać prosto do Warszawy.

Do Dębicy przyjechałem w nocy. 20 czerwca zameldowałem się w dowództwie.

Postanowiłem, że coś z sobą zrobię, ale co zrobić, jak postąpić, jeszcze nie wiedziałem. Przydzielono mnie do 2-ej kompanii. Batalion prawie że już był zorganizowany. Codziennie jeszcze napływali ludzie. W przeważającej części była to młodzież, rekrutująca się ze Lwowa, Stanisławowa, z Krakowa, z tych trzech województw. Byli i z innych województw, ale niewielu, np. z Warszawy było pięciu czy sześciu zaledwie. Jeśli chodzi o mnie, to za wszelką cenę chciałem poznać tych ludzi, t. z. czy są dobrymi Polakami, dlaczego tu przyszli, ale na to trzeba było pewnego okresu czasu, to też ograniczyłem się do krótkich i dość skąpych rozmów to z tym,

to z tamtym. Podzielono nas na plutony i drużyny. Zaczęły się zajęcia: Przez okres 2-ch tygodni szkolono nas w zwrotach i w marszu, na początku bez śpiewu, a potem ze śpiewem. Śpiewaliśmy polskie wojskowe piosenki. Potem zaczęły się wykłady, opisywanie poszczególnych części k. b. k., R. M. K. i C. K. M., następnie geografia, znaki rozpoznawcze itd., jednym słowem tak jak w szkołach wojskowych polskich przed wojną. Tak przeszło kilka tygodni.

* *
*

Odchodzi od nas d-ca kompanii por. Rokossowski, pierwszorzędny Polak. Zarządzono zbiórkę kompanii, por. Rokossowski zdał kompanię, a por. Prock, nowy nasz dowódca, przyjął.

W każdej kompanii był jeden podoficer niemiecki, t. zw. „zugführer", który był obecny na ćwiczeniach, jako nadzorca. Ćwiczenia prowadził dowódca kompanii, komendę podawano w języku niemieckim. Porucznik Prock prowadził kompanię na plac ćwiczeń, przerabiał ćwiczenia tak jak i jego poprzednik. Por. Prock był również dobrym Polakiem; podczas przerw gawędził z nami i często mówił: — Uczcie się, chłopcy, czego się nauczycie, to w przyszłości wam się przyda — przytem oczy jego i wyraz twarzy mówiły — przyda wam się to na Niemców.

Z miejsca nabrałem do niego zaufania. To też gdy raz zauważyłem go samego, podszedłem, o coś zapytałem, on mi odpowiedział — i tak od słowa do słowa, zaczęła się pogawędka. Zapytał mnie, skąd pochodzę, jak się tu znalazłem itd. To też bez namysłu palnąłem:

— Panie poruczniku, może mi pan coś doradzi, mam do pana zaufanie, więc dla tego do pana się zwracam.

— Może pan mówić śmiało — odpowiedział.

— Ja już się dosyć nacierpiałem u nich w niewoli, za żadną cenę nie będę w tej niemieckiej policji, muszę stąd uciekać; chodzi tylko o to, gdzie i co robić, żeby im szkodzić? Pan zna stosunki, dlatego proszę o radę.

— Panie — odezwał się po chwili porucznik — siedź pan narazie, jeszcze czas, szkolimy się, to prawda, ale nie jest pewne, że będą mieli z nas korzyść. Narazie nas karmią nie najgorzej, szkoła będzie trwać dłużej niż pół roku, w międzyczasie pozna pan bliżej ludzi, napewno znajdzie pan więcej takich jak pan, a przytem przez ten okres może się coś zmienić. Na ucieczkę będzie miał pan czas wtedy, kiedy oni będą

żądać służby czynnej od pana, tymczasem siedzimy tutaj bezpiecznie, nic im wzamian nie dając, przeciwnie oni do nas dokładają...

Przyznałem mu rację i na razie na tym stanęło. Aha! Zapomniałem wspomnieć o naszym umundurowaniu. Otóż, ubrali nas w mundury litewskie, właściwie były to sukienne bluzki, nakładały się przez głowę, zapinały z przodu na cztery guziczki, kołnierz wykładany, na wzór polskich mundurów, nawet w tym samym kolorze zielonym. Furażerki z szarego sukna, zamiast orzełka guzik, zwykły guzik, jaki Niemcy nosili przy mundurach. Zrobiliśmy szum. Co? Guziki przy czapkach? Kto to słyszał? To się nazywa polska policja? To było naprawdę okropne założyć czapkę z guzikiem!

Ktoś ze starszych wiekiem zauważył' Bądźcie cicho, bo mogą nam naszyć orły niemieckie. Wtedy nie będzie nam lepiej!

Władze niemieckie dowiedziały się jednak o tym niezadowoleniu z naszej strony. Niektórych z naszych wzywali do sztabu, wypytywali o szczegóły zajścia, kto zaczął szum itp., ale nie wiem, czy się coś dowiedzieli. W każdym razie było wiadomo, że nasza tj. 2-ga kompania jest politycznie podejrzana. Że niby myśmy najwięcej szumieli.

Ludzi na ogół już poznałem, był to bardzo różny element, np. byli tacy, co liczyli, że po wyszkoleniu pójdą na komisariaty i będą odbierać razem z Niemcami produkty od szmuglerów i będą żyć dobrze. Byli tacy, że jak dostali dobry obiad, to byli już zadowoleni. Byli i „szpicle". W każdym razie, biorąc ogólnie, byli to w 70 proc. dobrzy Polacy, przy których można było wszystko mówić. Jeśli nie przytakiwali, to tylko przez ostrożność.

Zaczęły się wykłady teoretyczne o walce z partyzantką. Teraz już wszystko było jasne, do czego nas przygotowują. Tym lepiej, nauka idzie w nas, a nie w las, jak mówi przysłowie. Odchodzi od nas szef kompanii, zostaje zwolniony jako chory. Rzeczywiście był chory, człowiek już nie młody, pięćdziesiąt kilka lat, przodownik policji z przed wojny, przytym trochę głuchy. Na jego miejsce wchodzi jeden z naszych kolegów, Karol Lesek, Lwowiak, człowiek energiczny, znający się na służbie. Lesek z kolei wciąga mnie na funkcję magazyniera. Ta współpraca bardzo nas zbliżyła do siebie. W pokoju, gdzie ja sypiałem, spało nas trzech: Andrzej Kowalówka, Władek Smartycha i ja. Oni obaj zostali mianowani zastępcami dowódców plutonów, więc jako podoficerowie mieszkali oddzielnie. Mnie jako funkcyjnego też przydzielono do ich pokoju: Zresztą Lesek trząsł naszą kompanią, zależało mu na tym,

żebym spał nie na ogólnej sali, gdyż całe wieczory mieliśmy o czym mówić. Już zaczynaliśmy ludzi śledzić, czym się kto zajmuje, jak jest nastawiony do tej niby „polskiej policji" itd. Smartycha i Kowalówka też już zaczęli pracować w tym kierunku.

Znowu nam przydzielili nowego dowódcę kompanii, por. Grot-Grzegorzewskiego. Z miejsca podszedł do nas tak jak dobrze wyszkolony polski oficer. To też słyszało się w szeregu szepty, że to „swój chłop". Por. Grzegorzewski naprawdę był „swój chłop", jak go nazywano ogólnie w kompanii, np. miał specjalny sposób mówienia. Jak stanął przed kompanią i powiedział coś do chłopców, to w taki sposób, że można było zrozumieć dwojako, np. — chłopcy uczcie się, szkolcie się, czego się nauczycie, to wam się przyda, nie zapominajcie kto jesteście — przy tym lekko uśmiechał się i zawsze wiedzieliśmy co miał na końcu języka. Ale za jego plecami stał Niemiec.

Często mawiał: — jesteście policjantami, to bądźcie dobrymi!

On był w porządku, a myśmy go rozumieli.

Lesek też miał swoje dobre powiedzonka: któregoś wieczoru kompania stanęła na apel w korytarzu, on mówił coś do kompanii, w tem ktoś się odezwał: — panie szefie, najgorzej to z tymi guzikami przy czapce!

Lesek odpowiedział: Chłopcy, lepiej nosić guzik przy czapce, jak numer na plecach i siedzieć w obozie!

A wtedy już znaliśmy przeszłość wielu z tych ludzi. Bardzo dużo było takich, którym groził kryminał, byli tacy, których ścigało „gestapo" jako politycznych, ci ostatni przeważnie występowali pod cudzym nazwiskiem, i wstąpili tu, żeby znaleźć schronienie.

Ale byli też i „szpicle". Uprzedzono Leska, żeby był ostrożny w słowach, gdyż Niemcy wszystko wiedzą. Teraz, gdy Lesek przychodził wieczorami do naszego pokoju, mówiliśmy o bliskiej przyszłości. Sześciu uciekło z batalionu, ale nie z naszej kompanii. Czterech z nich złapano i rozstrzelano, pozostałych dwóch jeszcze szukają.

Pewnego dnia na zbiórce brak dwu ludzi z naszej kompanii: dowódcy drużyny — Juraszka i jeszcze jednego. Uciekli i zabrali dwie poszwy pościelowe i koc.

Obaj z Leskiem naradzamy się, co robić. Oni uciekli już na dobre, jest na to dowód. Zaczęliśmy rozważać ich ucieczkę. Mogli uciec po apelu wieczornym, mogli w nocy, a mogli pójść i nad ranem, więc co robić? Czy zaraz dać znać Niemcom? Mogą ich schwytać.

Postanawiamy milczeć dokąd się da, żeby im dać czas na

oddalenie się jak najdalej. Lesek zameldował d-cy kompanii, ten również był zdania, żeby narazie milczeć. Nadzorca naszej kompanii Niemiec Ekerman zauważył nieobecność Juraszka, ale na razie nic nie mówił, gdyż to się zdarzało ne po raz pierwszy. Juraszek często chodził do pobliskiej wsi zamawiać dla Ekermana jaja, masło itp. i nieraz nie wracał na noc; Ekerman to tolerował. Juraszek mówił po niemiecku, tak że zawsze coś zmyślił na swoje usprawiedliwienie. To też i tym razem Niemiec przypuszczał, że jest podobnie. Po odprąwieniu kompanii zaszedł do Leska do kancelarii:

— A gdzie to jest Juraszek? — spytał.

Ja udałem, że nie słyszę, gdyż oficjalnie nie była to moja sprawa. Lesek odpowiedział, tak jakby nic nie zaszło:

— A gdzież może być? Napewno znowu coś dla pana załatwia, rozpuścił go pan, przychodzi kiedy chce.

— No, ja mu natrę uszu jak przyjdzie!

Pomyślałem sobie, że długo będzie czekał, zanim ten przyjdzie.

Ekerman wyszedł. Lesek zwrócił się do mnie:

— No, Władziu, o Juraszka już się nie boję, mam pokrycie, ale co zrobić z drugim, przytem rzeczy, które zabrali, to już twoja w tym głowa!

— Mam myśl, powiedziałem — trzeba zawiadomić Ekermana, że nie zgadza ci się stan o jednego człowieka oprócz Juraszka, ale nie wiesz o kogo, w tym celu żeby zatrzymał kompanię do sprawdzenia, gdy wrócą z ćwiczeń, a jeśli idzie o zaginione rzeczy, to zostaw to mnie, ja to załatwię, to jest przecież mój dział!

— No dobrze, ale jak go powiadomić o tym, czy uważasz że wtedy, gdy przyjdą na obiad?

— Można i tak, ale lepiej, jak to zrobisz wcześniej. Przecież chodziłeś wiele razy na plac ćwiczeń popatrzeć, a dzisiaj jest ładny dzień, więc masz pretekst, że wyszedłeś na powietrze... Zaczniesz z nim rozmowę, nie zaczepiając o ten temat, a przy odejściu z nienacka powiedz mu, żeby nie rozpuszczał kompanii, gdyż chcesz sprawdzić, widocznie rano było źle policzone. I zrób to w sposób bardzo obojętny.

Po godzinie może, przyszedł Lesek z Ekermanem, ja byłem w magazynie, zaszli do mnie, Lesek zapytał, czy nie przyszedł Juraszek?

— Chyba nie — odpowiedziałem — bo go nie widziałem. Zaszli do kancelarii, ja za chwilę też tam poszedłem, niby poliniować sobie arkusz papieru dla moich celów. Ciekawy byłem, czy Ekerman orientuje się w sytuacji, czy nie. Ale wszystko w porządku, rozmawiają zupełnie na inne tematy.

Za chwilę Ekerman wyszedł, mówiąc, że jeśli by kto o niego pytał, to będzie na placu ćwiczeń, tylko zajdzie do swego pokoju po papierosy.

— Władziu, wszystko w porządku — rzekł Lesek po wyjściu Ekermana.

— Ja także mam wszystko obmyślone! To jest bardzo proste. Po sprawdzeniu, kogo brakuje, weźmiesz Ekermana do kancelarii, ja już tutaj będę, zaczniesz z nim mówić o nich, W końcu powiesz, że nie ma aż dwóch, więc jest coś nie w porządku. Może Ekerman każe sprawdzić, czy są ich rzeczy, a jeśli nie, to ty powiesz, żebym poszedł sprawdzić, a ja wtedy wykryję brak ich rzeczy osobistych i tych poszew, koca itp.

Przyszła kompania z ćwiczeń na obiad: Lesek przeczytał listę, stwierdzono nieobecność Juraszka i jeszcze tego drugiego, niestety, nie pamiętam jego nazwiska. Dowódca kompanii, Lesek i Ekerman poszli do kancelarii, zaczęli mówić i wszystko stało się tak, jak przewidywaliśmy. Ekerman powiedział: Chyba uciekli, trzebaby sprawdzić, czy są ich rzeczy.

Zaofiarowałem się, że pójdę sprawdzić. Wróciłem, melduję braki. Ekerman aż podskoczył — przerażony, że zabrali poszwy i koc. Dziwne, że nikt nie zauważył braku tych poszew na łóżkach. Odpowiedziałem, że można nie zauważyć, gdyż łóżka nie zasłane, bo niektórzy są na izbie chorych, w szpitalu, na urlopie. Przytem rano każdy ma mało czasu, Gdy wstaną szybko ścielą łóżka, zaraz gimnastyka, mycie się, śniadanie i znów zbiórka na ćwiczenia... W takim ruchu każdy myśli tylko o sobie... Przytem Juraszek już wielokrotnie nie był w nocy, to też chłopcy nie zwracali specjalnej uwagi.

— To jest możliwe — odpowiedział Ekerman. — Zaraz idę zameldować do d-cy batalionu.

— Teraz i mnie się dostanie — rzekł Lesek — i to wszystko przez pana — zwrócił się do Ekermana.

Dlaczego przeze mnie?

— Bo żeby nie Juraszek, któremu pan zbyt wiele pozwalał, to bym wcześniej się zorientował...

— To nic! — mówi Ekerman — ja biorę to na siebie, powiem, żeśmy ich szukali i przeprowadziliśmy śledztwo. Gdy zauważyliśmy braki; wtedy przyszedłem zameldować o ich ucieczce. Już ja to załatwię — dodał, odchodząc.

Złożyłem odpowiedni raport o brakach w magazynie i na tym się skończyło. Zaczęto dawać kilkudniowe urlopy, ja dostałem pięć dni urlopu. Jechało nas czterech w jednym przedziale. W wagonie pełno „szmuklerzy".

Dojeżdżamy do Radomia, na dworcu ruch, pełno Niemców. „Łapanka" rozniosło się jak echo po wagonoch. Ja miałem małą

walizeczkę prawie pustą, była w niej tylko cywilna marynarka i krawat. Ludzie szaleli poprostu z rozpaczy, nie wiedząc co robić.

— Dawaj pan walizę! — krzyknąłem do mężczyzny, jadącego w tym samym przedziale co my. I znowu jakaś kobieta prosi, żeby jej wziąć paczkę. Swoją walizkę oddałem jej, a paczkę wziąłem. Koledzy zrobili to samo.

Nie idźcie blisko nas! — krzyknąłem, wychodząc z wagonu. Wszyscy musieliśmy wysiąść, gdyż w Radomiu trzeba było się przesiadać do warszawskiego pociągu. Grupa ludzi ze dwadzieścia osób stoi na boku z paczkami, z walizkami, okrążona przez Niemców, cywilom idącym bez paczek sprawdzano dokumenty, jeśli w porządku przepuszczali do warszawskiego pociągu. My we czterech idziemy razem.

— Gdzie jedziecie?

— Na urlop — odpowiedziałem idąc na przedzie. — Zażądał kart urlopowych, jeden z nich zapytał mnie co wieziemy, udałem, że nie rozumiem. Na urlop odpowiedziałem. Feldfebel sprawdzający nasze dokumenty, wskazał nam pociąg warszawski i kazał iść. Weszliśmy do wagonu, zajęliśmy pusty przedział, we dwóch stanęliśmy w oknie, wypatrując właścicieli paczek. Pierwszy przyszedł mężczyzna, który mi dał walizę. Nie wiedział jak się odwdzięczyć: — panie, to mój cały majątek, pełna waliza masła!

— To też ciężka — odpowiedziałem. — Nadeszli następni właściciele paczek, brakuje jeszcze jednej kobiety. Pociąg odchodzi za trzy minuty. O! Idzie — zauważył mój towarzysz — idzie bardzo pomału i niby rozgląda się.

Krzyknąłem — tutaj!

Spojrzała i znów idzie powoli, mój towarzysz znowu krzyknął: — Prędzej, paniusiu.

— Cicho bądź! — zwróciłem uwagę towarzyszowi — ona ma widocznie w tym jakiś cel.

Wgramoliła się nareszcie.

— Co pani tak długo szła — pytaliśmy.

— Bo nie mogłam prędzej — odpowiedziała. — Odwróciła się tyłem do nas, coś tam grzebała pod sukienką, w końcu wyciągnęła paczkę.

— Co tam pani ma?

— A dwa kilo masła, przecież by mi zabrali, musiałam schować!

Na ostatniej stacji przed Warszawą nasi „szmuklerzy" wysiedli.

Ja zaraz w Warszawie wstąpiłem do fryzjera ogolić się, mundur litewski i czapkę włożyłem do walizki, a włożyłem cy-

wilną marynarkę i krawat. Wstydziłem się sam siebie, nie mogłem się z tym pogodzić, żeby w rodzinnym mieście chodzić w tym mundurze, jeszcze spotka kto znajomy, trzeba się tłumaczyć, żeby źle nie myślał o mnie... Po moim przyjeździe na urlop na drugi dzień przyszedł do mnie Juraszek, naturalnie po cywilnemu.

— Gdzie pan się zatrzymał? — spytałem.

— Mam brata policjanta, mieszka na Grochowskiej, dał mi lewy paszport i tak się tłukę.

Opowiedziałem mu, co było po jego ucieczce, ze wszystkimi szczegółami. Zapewniłem go, że wielu z nas zrobi to samo, tylko w inny sposób. Nam idzie o to, żeby uciec z bronią, więc musimy czekać odpowiedniej okazji.

Wróciłem z urlopu, szkolenie idzie w dalszym ciągu normalnie. Por. Włoczewski, o którym wspomniałem na początku mego opowiadania, chodzi już w mundurze oberleutnanta policji niemieckiej i pisze się nie Włoczewski, a Wloczewski. Wcale mnie to nie zaskoczyło, spodziewałem się tego po nim. Dzisiaj spotkałem się z nim oko w oko, idąc zasalutowałem mu, patrząc mu prosto w oczy. Zauważył to, odsalutował mi, ale czuł się nieswojo, widać to było.

Poszedłem do Leska.

— Czy widziałeś „naszego Włoczewskiego"? — spytałem.

— A widziałem.

— On widocznie myśli, że Polski już nie będzie, co?

— On tak wcale nie myśli! Przyjrzyj mu się, jak ogląda latarnie. Nie wie, która dla niego — roześmiał się Lesek.

Wieczorem Lesek przyszedł do naszego pokoju, nasza czwórka jest w komplecie: Smatrycha, Kowalówka, Lesek i ja. Podczas pogawędki odezwałem się:

— Słuchajcie, przyjechał jeden chłopiec z urlopu, był w Lublinie, mówi, że tam jest partyzantka... Może byśmy tak?

— Nie — odpowiedział Lesek — na to mamy jeszcze czas, po pierwsze do partyzantki potrzeba ludzi z bronią, a stąd z bronią przejść, to jest za daleko, a po drugie wyniszczą nam rodziny. A wreszcie są jeszcze inni chłopcy, których nie można zostawić na pastwę Niemcom. Prawdopodobnie wyjedziemy na Białoruś, więc tam przejdziemy całą kompanią, niebezpiecznych usuniemy.

Od tego dnia cała nasza czwórka zaczyna radzić co jak zrobić i kiedy. Najstarszy wiekiem z nas, Lesek, jest zdania żeby na razie siedzieć cicho i czekać na moment odpowiedni. Usłuchaliśmy go. W styczniu 1943 r. wyjeżdżamy do Borysowa (Białoruś). Odkomenderowano polskich oficerów i podoficerów

policji, natomiast przydzielono niemieckich. W Borysowie umundurowali nas w niemieckie mundury, tego już było za wiele, tego już nie można było dłużej znieść. Zaczynamy działać i to szybko, jakby nas parzyły mundury niemieckie. Tak się źle czuliśmy, że cierpieć ani jednej chwili dłużej nie mogliśmy. Jest nas wtajemniczonych sześciu, doszedł jeszcze Szydło Stanisław z Krakowa i Urbanek Józef z Pomorza.

We wsi Nowochrosty (rej. Krupski) robią z nas garnizon i przydzielają nas do pilnowania wyrębu lasu. Z nami jest dziesięciu Niemców z jednym oficerem. Po okresie dwóch tygodni wiedziałem już gdzie się mieszczą oddziały partyzanckie i w jaki sposób do nich trafić.

Nasza szóstka działa

Wieczorem zbieramy się i zaczynamy radzić, postanawiamy uprowadzić całą kompanię. Wysyłamy gońca, po prostu niknie na robocie. Jako goniec poszedł Pietruszka Roman, jest nas już siódemka. Daliśmy mu list i hasło, przytem marszrutę, jak ma omijać garnizony. Na pierwszy dzień marszu dostał zapotrzebowanie na zbiórkę ludzi na roboty, poświadczone pieczęcią i podpisem. Miał wziąć w najbliższej wsi sanie i jechać prosto przez garnizony, a drugiego dnia miał nakazane być ostrożnym i za wszelką cenę dotrzeć do miejsca postoju oddziałów partyzanckich. Tak też zrobił i udało mu się szczęśliwie. Przy tym dostał pismo z prośbą o przysłanie nam 10 ludzi jako przewodników.

Po dwu tygodniach otrzymujemy pismo z rąk partyzantki, która przybyła jako łącznik z samodzielnego oddziału „Za Rodzinu" z hasłem podanym przez nas. Otrzymujemy pismo, w którym donoszą nam, że na razie ludzi przysłać nam nie mogą, żeby jeszcze zaczekać na drugiego gońca. Przyczyny nie podają. My natomiast zapowiadamy gońcowi, że następnego dnia, w porze obiadowej (Niemcy śpią) dostanie od nas pismo do dowódcy oddziału. Piszemy po raz drugi, że jest z nami dziesięciu Niemców na czele z oficerem, że po przyjściu gońca z hasłem następnej nocy zabijemy Niemców i uprowadzimy całą kompanię.

Funkcje podzielone zostały następująco: Kowalówka i Szydło zabiją 4 śpiących Niemców na jednej kwaterze, Lesek, Urbanek i Smatrycha zabiją 5 Niemców w innej kwaterze śpiących. Ja zabiję jednego, który śpi oddzielnie i w tę noc „zemsty" mam być dowódcą warty, mam zarządzić alarm w kompanii, przygotować dwa wozy na załadowanie zapasowej broni i amunicji. Nikogo więcej na razie nie mieliśmy wtajemniczać.

Ale niestety gońca się nie doczekaliśmy dnia następnego, jak się umówiliśmy i tak minęło parę tygodni, zaczęły się aresztowania za łączność z partyzantami, szefa pierwszej kompanii rozstrzelali, w naszej kompanii też słychać, że już Niemcy wiedzą, kto ma łączność z partyzantami. Mamy się na baczności, a pewnego dnia podchodzi do mnie jeden z naszych ludzi niewtajemniczonych i mówi mi, że był w batalionie w Borysowie i słyszał przypadkowo, że jutro mają aresztować pięciu z naszej kompanii. Naturalnie udałem, że nic mnie to nie obchodzi. Podzieliłem się wiadomością z kolegami, wieczorem postanowiliśmy w nocy uciekać, na razie w sześciu, jeden Urbanek rezygnuje, mówi, że jeszcze zostanie. To nas bardzo zaskoczyło, nie spodziewaliśmy się tego po nim, zaczęliśmy się obawiać, że nas zdradzi, pilnowaliśmy się na każdym kroku. O godzinie 11.30 20 kwiatnia 1943 r. uciekamy uzbrojeni, karabiny odbezpieczone, zdecydowani na wszystko najgorsze. Jako pierwsi uciekamy ja i Kowalówka, następnie Smartycha i Szydło, jako ostatni Lesek. Punkt zborny w lesie około kilometra od wsi. Jesteśmy już wszyscy w lesie, udało się, przynajmniej na razie. Postanawiamy bezzwłocznie ruszać w drogę, idziemy całą noc omijając garnizony, których jest wszędzie pełno. O świcie już brniemy przez bagniste łąki, ciężko się idzie, po wodzie — wyżej kolan. Aby tylko dojść do z daleka widocznych czterech domów.

Pukamy do okna, gospodarze jeszcze śpią.

— Kto to — pyta głos kobiecy z wewnątrz?

— Swoi, odkrojcie, — mówię po rosyjsku. Za chwilę otwierają się drzwi, kobieta staje osłupiała z przerażenia, zaczynam ją uspakajć: — Nie bójcie się, my Polaki udrali my od Niemców, idziem w partyzany, nie bezpakojcie się czto my w niemieckiej formie.

Kobieta nareszcie się uspokoiła, wchodzimy do chaty, gospodarze i ich córka w międzyczasie się ubrali, ja i Lesek zaczynamy rozmawiać, gdyż znaliśmy rosyjski język. Już się czujemy dobrze, gospodarze się rozgadali, że tak powiem, na całego. Zapalili ogień, myjemy się, suszymy, trochę przekąsiliśmy i ruszamy dalej. Dowiedzieliśmy się, że partyzanci są we wsi Luciec, a więc mamy jeszcze około 20 km, Wypadnie przejść więcej kilometrów, gdyż musimy omijać niektóre wsie.

O godzinie 11 przed południem zachodzimy do jednej z wsi. Cisza, wypytujemy o Niemców i partyzantów, odpowiadają nam, że partyzantów nie było, ale byli „policyjskie", tak nazywano policjantów białoruskich, i Niemcy pytali o 5-ciu Polaków, którzy uciekli do partyzantów. Poszli na Luciec.

Zbieramy się idziemy dalej do następnej wsi. Przybyło jeszcze więcej Niemców z pobliskiego garnizonu, część pojechała drogą przez las, a część przez następną wieś, jedni i drudzy na Luciec. My postanawiamy skryć się w lesie i czekać nocy. na zmianę trzymamy posterunki na brzegu lasu, żeby wiedzieć, co się dzieje we wsi i okolicy, niestety nie pamiętam nazwy tej wsi, a w tej wsi jakoby miały chodzić patrole partyzanckie.

Do samego zmierzchu nie zauważyliśmy nic szczególnego, już się zupełnie ściemniło, idziemy w rozsypkę w odległości paru metrów jeden od drugiego prosto przez wieś, po jednej i drugiej stronie drogi przy ścianach domów. Umówiliśmy się, że gdybyśmy się natknęli na Niemców, to ich obstrzelamy i w nogi do lasu.

Przeszliśmy przez całą wieś, nikt nas nie zaczepił, w ostatnim domu we wsi zatrzymaliśmy się i pytamy o drogę do Luciec, okazuje się, że jeszcze 6 km. O 3 km będzie Małe Ossowo, a stamtąd przez las 3 km do Luciec. Nie radzą nam iść nocą, gdyż możemy się natknąć na partyzantów i możemy się postrzelać. A więc nocujemy. Opowiadają nam, że w Luciec dzisiaj był bój, bili się Niemcy z partyzantami. Niemcy Luciec podpalili, była ich duża siła.

22 kwietnia 1943 r. o świcie budzi nas nasz posterunek, na zmianę pełniliśmy wartę koło domu, nikomu z chaty nie pozwalaliśmy wyjść w nocy. Spaliśmy w pełnym rynsztunku z bronią przy sobie. Ruszamy w drogę na Małe Ossowo, karabiny zakładamy pasem na szyję na znak, że nie chcemy strzelać. Tutaj obawiamy się, żeby nas nie postrzelili partyzanci. Według wszelkich danych, Niemców nie możemy spotkać, gdyż oni tylko czasem zajeżdżają tak wcześnie.

Doszliśmy do wsi Małe Ossowo, wioska zupełnie maleńka i prawie w całości spalona, stoją zdaje się 2 stodoły, jedna obora i 2 ziemianki, pobudowane już po spaleniu. W jednej z ziemianek ugościli nas blinami z mlekiem, ale gdzie są partyzanci nikt nam nie chce wskazać, odpowiadają — nie wiemy.

A więc bierzemy gospodarza domu, gdyż innego wyjścia nie ma, prowadzimy go w las i mówimy, prowadź nas do Luciec, tam są partyzanci, czy spełnisz polecone ci zadanie? — Tak. — odpowiada.

— Będziesz szedł 20 metrów przed nami, w razie gdybyś zauważył Niemców, dasz znak ręką, a jeśli byś spotkał partyzantów, powiedz im, że za tobą idzie 5-ciu Polaków, chcą iść do partyzantki. Żeby nie strzelali! Jeśli nie spotkasz nikogo, to po przejściu lasu zatrzymaj się — dostaniesz nowe polecenie.

— Charaszo, dobrze — odpowiada.

No, jesteśmy na brzegu lasu, pierwsze domy wsi leżą o 300 metrów od nas, wysyłamy naszego przewodnika, aby nawiązał łączność, ma powiedzieć, że jesteśmy na brzegu lasu i czekamy na ich rozkazy, co mamy robić. Po pół godziny wraca z odpowiedzią, żeby jeden się zgłosił. Idzie Lesek, po kilku minutach wraca, daje znak ręką, żebyśmy szli, dochodzimy do Leska — mówi, żebyśmy oddali mu wszystkie karabiny. Wziął je na rękę i maszerujemy, dochodzimy do wsi.

Oczekują nas partyzannci, witają się z nami, ludność wsi wita nas owacyjnie. Za chwilę idziemy do pasiołka Lucieckiego, tam nas przyjmują partyzanci z oddziału „Woroszyłowców". My mówimy, że mieliśmy kontakt z oddziałem „Za Rodzinu" tam jest już nasz goniec...

Za nami słychać tętent koni, oglądamy się, jedzie dwóch jeźdźców galopem, naturalnie nasz Pietruszka Roman, wysłany przez nas goniec! Całujemy się, ściskamy, radości nie ma końca, w tem odzywa się drugi jeździec: — No czto Roman — twoi druzia przybyli ku nam?

— Da towarzysz naczelnik — i przedstawia nas — moi koledzy — szef sztabu oddziału „Za Rodzinu"!

— No pójdziemy do nas, już niedaleko, półtora kilometra.

Oddział „Za Rodzinu" stancjonuje we wsi Klętno. wieś otoczona ze wszystkich stron lasem, przytem od strony zachodniej las bagnisty, nie może człowiek przejść. Bagna te ciągną się kilka kilometrów. Od naszego oddziału jest wyłożona droga z drzewa, którą można dostać się do jeziora „Palik". Na Paliku stacjonuje oddział „Woroszyłowców".

Otóż mamy nareszcie Kletno. Wita nas dowódca oddziału „Za Rodzinu", porucznik Harwanow, następnie młodsi dowódcy i partyzanci. Witają nas bardzo serdecznie. Przydzielono nam kwatery, porządnie nas nakarmiono. Przed wieczorem tegoż samego dnia wezwano nas do sztabu, na krótką konferencję — dowódca i komisarz oddziału Bezśmiertny pyta nas, jakżeśmy uplanowali ucieczkę, jak przebyliśmy drogę itd.

Okazało się, że łącznik (kobieta), która była przysłana do nas z listem poprostu stchórzyła i dlatego na drugi dzień nie przyszła, a w oddziale powiedziała, że ją obstrzelono z garnizonu i nie mogła się z nami porozumieć, poprostu skłamała. Wszystko się wyjaśniło po naszym przybyciu do oddziału. Potem przyjęto nas w sztabie obiadem, naturalnie, z wódką; na tym skończył się pierwszy dzień naszego pobytu w oddziale. Zaraz wydano nam z powrotem broń i udaliśmy się do swojej kwatery.

W oddziale zastaliśmy jeszcze trzech Polaków z pierwszej kompanii, którzy uciekli tak jak i my. Byli to: Wysocki Antoni

z Krakowa, Gabryś Henryk z Krakowa i Bogdan z okolic Krakowa, którego nie pamiętam już nazwiska, ponieważ przeszedł od nas do brygady „Żeleźniaka".

Po 3-ch czy 4-ch dniach ja, Smartycha i Kowalówka poszliśmy na zadanie, poszło nas 9-ciu z dowódcą plutonu. Nas było 3-ch Polaków. Dowódca objaśnił jak mamy się zachować w czasie drogi. Będziemy szli około 40 km aż pod Borysów, przy tym cały czas będziemy szli lasem. W razie natknięcia się na Niemców jeśli dojdzie do walki, mamy trzymać się grupy, gdyż nie znając lasów możemy się zgubić i co gorsza dostać się w ręce Niemców. — Jesteśmy starymi żołnierzami, więc dużo nie będę wam mówił, sami zobaczycie, jaka jest różnica między partyzantem a żołnierzem.

Partyzant w lesie czuje się jak u siebie w domu... W duchu sobie pomyślałem; czuje się w lesie jak pies w studni! Nie widzieć ni ludzi, ni domów, a tu lasy i lasy, — myślę sobie będzie to strasznie nudna podróż. Idziemy zdawałoby się żółwim krokiem, aż zwróciłem się do dowódcy z zapytaniem, dlaczego tak wolno idziemy? Otrzymałem odpowiedź: — Mamy czas 8 dni na wykonanie zadania. A jakie zadanie, nie wiemy, Nikt nie mówi i my nie pytamy, domyślamy się, że to tajemnica, przynajmniej na razie.

— Partyzant — mówi dowódca zawsze chodzi wolno, musi oszczędzać siły, żeby być każdej chwili gotów do ucieczki.

Pytam, dlaczego do ucieczki, a nie do obrony?

Partyzant nie idzie na zadanie po to, żeby się bronić, a tylko po to, by przeszkadzać „frycom" i niszczyć ich znienacka. Przyznałem mu rację. Niemców nazywaliśmy żargonem partyzanckim „frycami", a milicję „bobikami".

Pod wieczór zbliżamy się do jednej z wiosek, uszliśmy około 20 km, dowódca dał rozkaz siadać, sam — wyszedł na brzeg lasu, patrzy uważnie na wieś, to znów na las z prawej i z lewej strony. Nie wytrzymałem, wstałem i bezszelestnie podszedłem do dowódcy. Z za krzaków obserwuję wieś. Aż się śmieję z radości, patrząc na wieśniaków schodzących z pola do wsi. Pyta się dowódca czego się śmieję?

— Z radości, powiadam, że widzę normalnie żyjących, jakby nie było wojny.

— To nasza wieś, mówi dowódca, tylko zawsze trzeba być ostrożnym, „nasza" to znaczy ludzie nam sprzyjający, nawet zaufani.

— Idziemy do wsi na kolację — mówi dowódca. Zerwali się wszyscy, szybko idziemy, zachodzimy do wsi, a tam ruch, ludzie wybiegają na drogę, witają się z wszystkimi i z nami, ale trochę nieśmiało podają nam rękę, dowódca to zauważył

i powiada: — To Polacy, nasi, partyzanci, uciekli od Niemców...

Czujemy się doskonale, ludzie zabierają nas na kolację i idziemy po dwóch do jednej chaty, jeden Polak, jeden Rosjanin. żeby łatwiej się było porozumieć. Ugościli nas, jak kto mógł: kluskami z mlekiem, gotowanymi jajkami i chlebem z masłem, ze śmietaną. Bawiliśmy we wsi ze dwie godziny.

Tymczasem już zapadła noc, ruszamy w dalszą drogę, też lasem, z wyjątkiem tylko jednej wioski, którą przeszliśmy dla skrócenia sobie drogi, żeby lasem nie okrążać. Tam spotkaliśmy grupę partyzantów, szli z zadania we wsi, zatrzymali nas i pytali o hasło, myśmy odpowiedzieli, okazało się, że to nasi sąsiedzi z oddziału „Gwardziejców". Pozdrowiliśmy się, zapaliliśmy papierosa skręconego w gazecie i poszliśmy dalej.

MICHAIŁ SZOŁOCHOW

Oni walczyli za Ojczyznę

(FRAGMENTY POWIEŚCI)

I.

Łopachin niedbale, jak u siebie w domu, pchnął nadwichniętą furtkę, wszedł w podwórze, niemożliwie zarośnięte burzanem i pokrzywami. Napół walące się budynki gospodarskie, wiszące tylko na jednej pętli futryny, nadgniłe stopnie ganka — wszystko to dowodziło, że w domostwie brak męskiej ręki. „Gospodarz, wiadoma rzecz, na froncie, sprawa, znaczy się, ubita, — zdecydował Łopachin.

W pobliżu stodoły, niewielkiego wzrostu, na oko zła staruszka w znoszonej niebieskiej spódnicy i o przybrudzonej bluzce, układała ususzone płatki nawozu. Usłyszawszy skrzypnięcie furtki, z trudem wyprostowała grzbiet i zasłoniwszy oczy pomarszczoną, brunatną dłonią, milcząco spoglądała na obcego żołnierza. Łopachin podszedł, uprzejmie się przywitał i zapytał:

— Jak tam, matko, nie znalazł by się czasem u was kubeł i trochę soli? Nałapaliśmy raków, trzeba by je ugotować.

Staruszka zmarszczyła się i głosem niskim, prawie męskim, odparła:

— Soli wam trzeba? Mnie tego podłego gnoju szkoda byłoby dać wam, a co dopiero soli!

Łopachin zamrugał jak oszalały oczami i zapytał:

— A skądże znowu taka niełaskawość dla nas?

— A ty niby nie wiesz skąd? — groźnym głosem odparła staruszka. — Bezwstydniku ty! Gdzie idziecie? Za Don śpieszy wam się? A kto ma za was wojować! Nam może, starowinom, dacie karabin do ręki, żeby bronić was przed Niemcami? Już trzecią dobę idzie wojsko przez futor, napatrzyli my się na was dosyć! A naród komu chcecie zostawić? Wstydu wy ani sumienia, szelmy, nie macie! Słyszaneż to rzeczy, żeby nieprzyjaciel do naszych sadyb docierał? Od początku świata to się nie zdarzyło, ile lat żyję na tym bożym świecie, a czegoś takiego nie wspomnę! O brzasku słychać już, jak od zachodniej strony armaty wyją. Soli się wam zachciało? Ażeby was na tamtym świecie solili i nie przestawali solą posypywać! Nie dam! Wynocha stąd!

Purpurowy ze wstydu, zmieszania i złości, Łopuchin wysłuchał gniewnych słów staruszki, odezwał się teraz niepewnym głosem:

— Ale też sroga jesteście, matko!

— A boś nie wart tego, żeby dobrą być dla ciebie. A co, może mam się nad tobą rozczulać, żeś tak sprytnie raków nałowił, a? Chyba nie za raki zawiesili ci ten medal?

— Wy, matko, nie czepiajcie się mojego medalu, to was nie dotyczy.

Staruszka, która nachyliła się była nad rozsypanymi kostkami nawozu, wyprostowała się znowu i jej głęboko zapadnięte czarne oczy, zapłonęły złym i młodzieńczym blaskiem.

— Mnie, sokole ty mój, wszystko dotyczy. Nie poto ja do późnej starości grzbiet zginałam, podatki akuratnie płaciłam i rząd nasz wspomagałam, żebyście wy teraz jak wściekli nura dawali i dobytek cały na wstyd i hańbę porzucali. Ogarniasz to pustą twoją łepetyną?

Łopachin odchrząknął i skrzywił się jak od bólu zęba.

— Wszystko to ja i bez was wiem, matko! Ale próżne to wasze gadanie...

— Tak gadam, jak rozumiem... Już ty mnie uczyć nie będziesz.

— Na pewno nie masz, matko, nikogo ze swoich w armii, jeżeli tak rozumujesz.

— Nikogo w armii nie mam! Pójdź-no, popytaj u sąsiadów, oni ci powiedzą. Na froncie mam trzech synów i zięcia, a czwarty syn zginął w mieście Sewastopolu. Rozumiesz teraz? Obcy ty, nieznajomy, to też dlatego i po dobroci z tobą rozprawiam, a niech by się tak synowie moi pokazali, na próg bym ich nie

puściła. Kijem-bym przez łeb błogosławiła i powiedziałam bym po swojemu, po macierzyńsku: „Zabraliście się do wojaczki, to bijcie się, huncfoty, jak należy, nie włóczcie przeciwnika za sobą po całym państwie, nie wystawiajcie przed narodem na pohańbienie starej waszej matki!"

Łopachin chustką otarł pot z czoła i rzekł:

— Hm, cóż... przepraszam, mamusiu, komu w drogę, temu czas, pójdę, może w innej zagrodzie dostanę wiadra. — Pożegnał się i zawrócił ścieżyną wydeptaną w burzanie. Czuł się markotnie i myślał w duchu: „Diabli nadali, żem tu trafił! Kwita z byka za indyka..."

— Ej ty, wojskowy, zatrzymaj się!

Łopachin obejrzał się. Staruszka dreptała w ślad za nim. Milcząc skierowała się do domu, powoli weszła po skrzypiących schodach i po chwili wyniosła wiadro i sól w drewnianej, wyszczerbionej misce.

— Tylko nie zapomnij odnieść naczynia — tym samym srogim powiedziała głosem.

Zawsze umiejący się znaleźć w kropce i obrotny w pysku, tym razem wymamrotał Łopachin niewyraźnie:

— No cóż, nosa my wyżej gęby nie nosimy... Można przyjąć... Dzięki, mamusiu! — I nie wiedzieć czemu skłonił się bardzo nisko.

A niewielkiego wzrostu starucha, zmordowana, zgięta pracą i latami, minęła go z taką jakąś dostojną powagą, iż wydało się Łopachinowi, że jest dwa razy odeń wyższa, i że spogląda na niego z góry, jakby, wzgardliwie i współczująco...

Mikołaj i jeszcze dwóch krasnoarmiejców czekało na Łopachina za obejściem. Siedzieli w cieniu żywopłota, palili. W zwiniętej w węzeł mokrej koszuli z chrzęstem poruszały się raki. Wysoki krasnoarmiejec popatrzał na słońce, powiedział:

— Długo jakoś nie widać naszego strzelca, pewnikiem się nie doprosi wiadra. Nie zdążym ugotować raków.

— Zdążymy — powiedział drugi. — Kapitan Sumskow niedawno dopiero poszedł z Komisarzem batalionu do zenitówek telefonować.

A potem zagadali o tym, jak ładne w tym roku zboże i że sierpami niełatwo będzie skosić tak gęstą i pokładającą się już pszenicę, że kobietom samym trudno przyjdzie dać sobie radę ze żniwami i że Niemiec pewnie niemało zagarnie pożytku, jeżeli wczas nie powstrzyma się ewakuacji. O sprawach gospodarskich radzili rzeczowo, z namysłem, tak jak zwykli to czynić chłopi w świąteczne dni, siedząc na przyzbie. Słysząc niskie ich głosy, Mikołaj myślał: „Wczoraj jeszcze ci ludzie brali udział w bitwie, a dziś już jakby dla nich wojna nie istniała. Wypoczęli trochę, wykąpali się i oto już im w głowie urodzaje..

Zwiagincew majstruje coś koło traktoru, Łopachin kombinuje, jakby tu ugotować raków... Wszystko dla nich jasne, wszystko proste. O ewakuacji, jak o śmierci, prawie nie mówią. Wojna — to coś w rodzaju wyprawy na spadzistą górę, zwycięstwo — tam, u wierzchołka, więc idą, nie mędrkując popróżnicy o nieuniknionych przeszkodach w marszu, nie mędrkując chytrze; własne przeżycia ich na drugim planie, główna rzecz — dotrzeć do wierzchołka, dotrzeć tam za każdą cenę! Ślizgają się, obrywają, spadają, ale znowu podnoszą się i idą.Kiż diabeł może ich powstrzymać? Pazury sobie powyrywają, krwią będą broczyć, ale górę tak czy owak sforsują. Choćby na czworakach, ale dojść muszą!"

Mikołajowi miło i radośnie była na sercu na myśl o ludziach, z którymi go związała przyjaźń wojskowa, niebawem jednak przerwał jego myśli Łopachin. Spocony i czerwony, zbliżał się szybkim krokiem i, nadymając się, powiedział:

— Ale i żar! Gorąc piekielny. — I badawczo zerknął na Mikołaja, usiłując z twarzy jego rozpoznać, czy tamten słyszał rozmowę jego z babką czy też nie.

— A na temat barszczu nie dowiadywałeś się? — spytał Mikołaj.

— Jaki tam barszcz, jeżeli raki mamy gotować — odparł Łopachin z irytacją w głosie.

— Cóżeś tak długo mitrężył?

Łopachin powiódł szelmowsko wzrokiem, powiedział:

— Starowina trafiła się taka wesoła, rozmowna, że ani rusz odejść. Wszystko ci ją ciekawiło: a co my za jedni, a skąd, a dokąd też idziemy... Staruszka, choć buzi daj! Synowie jej także w wojsku, no, więc jak zobaczyła umundurowanego, wiadomo, rozkleiła się, częstować chciała, zaproponowała śmietany...

— A tyś odmówił? — zapytał z przestrachem w głosie Mikołaj

Łopachin zmierzył go zabójczym wzrokiem.

— A cóż to ja — włóczęga jaki czy żebrak, żeby biednej staruszce ostatnią śmietanę zeżreć?

— Niepotrzebnieś odmówił —, odparł melancholijnie Mikołaj. — Możnaby jej za tą śmietanę zapłacić.

Patrząc w bok, odparł Łopachin:

— Nie wiedziałem nawet, żeś ty taki amator śmietany. W przeciwnym razie, wiadomo, że wziąłbym. No, ale to sprawa do naprawienia i z powrotem już nie odwiozę wiadra, dość tej przyjemności z mojej strony, odniesiesz i przy okazji wspomnisz o śmietanie. Starowina taka poczciwa dusza, że i kopiejki od ciebie nie weźmie. Nawet nie śmiej proponować jej pieniądze, jeszcze się obrazi. Tak mi oznajmiła: „Ach, jakże żal mi

cofających się żołnierzyków, już tak mi ich żal, że wszystko bym im oddała!" No jazda, bo raki wyzdychają nam do cholery!

II.

Czerwone dachówki białego domu, zwilgotniałe od rosy, mętnie błyszczały w oddali. Skośne promienie słońca złociły dachówkę i jak tęcza migotały ogniki w oknach. W połysku między drzewami Łopachin dostrzegł dwie kobiece sylwetki, niezwłocznie też dojrzała w nim decyzja.

— Ty, Sasza, postój-no na straży interesów ojczyzny, a ja tymczasem spenetruję to dachówkowe przedsiębiorstwo — mrugnął znacząco okiem w stronę Kopytowskiego.

Tamten ze zdziwieniem podniósł w górę popielato-szare, zakurzone brwi i zagadnął:

— Za jakim znowu interesem?

— Przeczucie mi takie powiada, że o ile w tym domu nie szkoła i nie poradnia przeciwgruźlicza, to uda się tam wywojować coś niecoś apetycznego.

— To najpewniej weterynaryjny szpital — odparł Kopytowski po chwili namysłu. — To jasne jak dłoń, że szpital weterynaryjny, a ty oprócz nosacizny albo owczej zołzy nic więcej na śniadanie nie zwojujesz.

Łopachin zmrużył pogardliwie oczy, zapytał:

— A to niby dlaczego szpital, a w dodatku jeszcze weterynaryjny? Co ci się przyśniło, jasnowidzu?

— A bo na uboczu stoi i niedawno tam krowa jakaś ryczała, a jeszcze tak żałośnie, że na pewno leczyć ją przyprowadzili.

Zachwiany nieco w swoim mniemaniu, Łopachin przez chwilę pogwizdywał z rozczarowaniem i rezygnacją, w rezultacie postanowił jednak iść.

— Pójdę z wywiadem — odezwał się pełen otuchy. — A jeżeliby sierżant, albo tam kto inny spytał, gdzie Łopachin, powiedz, że na stronę odszedł, mów, że go w brzuchu okropnie sparło, a nawet możebne, że to dyzenteria.

Zgarbiwszy się, ledwo powłócząc nogami i wykrzywiając cierpiąco gębę, Łopachin, w przyzwoitej odległości klucząc od okopu lejtenanta Gołoszczekowa, minął telefonistów, ciągnących ze sztabu kable, i dał nura w ogród. Ledwo jednak gałęzie wiśni zakryły go przed obcym wzrokiem, natychmiast wyprostował się, podciągnął pasa, przekręcił lekkomyślnie na bakier kask i dziarsko stąpając na swych krzywych nogach, skierował się w stronę gościnnie rozwartych drzwi domostwa.

Zdala już dostrzegł kobiety, krzątające się koło stodoły, rząd błyszczących na słońcu białych baniek blaszanych i doszedł do głębokiego przekonania, że ma przed sobą albo mleczarnię,

albo jajczarsko-mleczarską fermę kołchozu. Srogie jednak spotkało go rozczarowanie, kiedy, jednym susem przesadziwszy żywopłot, odkrył przed sobą nieoczekiwanie stojącą tuż przy spichrzu wyniosłą figurę starszego mężczyzny, rozkazującego coś kobietom. W kombinacjach swoich Łopachin stanowczo wolał zawsze mieć do czynienia z kobietami. Niezachwianie wierzył on w poczciwość i miękość woskową kobiecego serca, nie bacząc nawet na częste dość miłosne niepowodzenia, wierzył także we własny swój nieodparty urok... Co dotyczy zaś mężczyzn w pewnym wieku, to mówiąc poprostu, niecierpiał ich wszystkich bez wyjątku, uważał ich za monstra szkaradne i wszelkimi sposobami starał się unikać ich z petycjami. Teraz już w żaden sposób niepodobna było ominąć mężczyznę: sądząc z pozorów, musiał to być zarządzający.

Nabrawszy otuchy i życząc w myślach Bogu ducha winnemu starcowi szybkiej a pogodnej śmierci, Łopachin skierował się w stronę spichrza ale nie poprzednim już, niefrasobliwym i uwodzicielskim krokiem zaprzysiężonego zdobywcy serc niewieścich, lecz marszem bojowym, uroczystym, poprawiając wprzódy kask na głowie i gasząc w oczach figlarne błyski.

Wprawnym okiem zmierzywszy szerokie bary i wyprostowany grzbiet starego, Łopachin pomyślał w duchu: „Na pewno się feldfebla dosłużył, diabeł rogaty! Trzeba go będzie wziąć z mańki szacunkiem". Nie dochodząc paru kroków, trzasnął obcasami, przywitał się i zasalutował tak, jakby miał przed sobą co najmniej dowódcę dywizji. Wyrachowanie okazało się trafne: wywarło to wrażenie na starego, który także przykładając żylastą dłoń do daszka wypłowiałej czapy kozackiej, odparł nie mniej uprzejmym, głuchym basem:

— Cześć!

— A co to u was, ojczulku, stajnia kołchozu? — zapytał Łopachin, pokazując niewinnym wzrokiem budynki.

— Nie, to nasza Ferma Mleczarsko-Towarowa. Zabieramy się akurat do wymarszu...

— Toście się późno zabrali — głosem surowym oznajmił Łopachin. — Należało wcześniej o tym pomyśleć.

Stary westchnął, pogłaskał brodę i patrząc gdzieś w bok od Łopuchina, powiedział:

—No, za ostry galop wzięliście, srogie wojaki, uciekając do naszego futoru... Jeszcze onegdaj radio podawało, że walki toczą się koło Rossoszi, my i obejrzeć się nie zdążyli — a wy już na naszym gruncie i Niemca pewnikiem za sobą wleczecie...

Rozmowa zaczęła przyjmować jawnie niepomyślny dla Łopuchina obrót, to też umiejętnie skierował ją na inne tory, spytawszy:

— Czyżbyście dotąd nie przeprawili krów przez Don? Krowy, wiadomo, musicie mieć nie brzydkie, rasowe?

— Owszem, krówki w naszym gospodarstwie odpowiedzialne, nie krówki, a czyste złoto! — z zachwytem odezwał się stary. — Przeprawiliśmy je jeszcze wczoraj wieczorem wpław, a teraz pożytki przewozimy i przewozimy, i nie wiedzieć kiedy przewieziemy, bo na przeprawie taki odchodzi galimatias, że nie daj Boże! Niemiec drugą dobę grzeje na most bombami, rozwali go, jeżeli trafi, a tu maszyn wojennych różnych skupiło się ogrom, dowódcy koło mostu ciągną jeden drugiego za guziki, więc gdzież tam nam przeprawiać się z naszą czeredą...

— Tak, to sprawa skomplikowana — potwierdził Łopachin. — Ale nie przejmujcie się zbytnio, miły ojczulku, nasz pułk bohaterski podjął się obrony, możecie, znaczy się, być pewni, że Niemcy biegiem na tamtą stronę Donu nie przeskoczą. Jeszcze po tej stronie upuścimy im, jak należy, posoki.

— Przepadnie nasz futor, wszystko pochłonie ogień, jeżeli tu będzie się odbywać bitwa. — Stary powiedział to drżącym głosem.

— Tak, ojczulku, zdaje się, że wasz futor oberwie, ale my go bronić będziemy do ostatnich granic możliwości.

— Boże wam pomagaj — odrzekł zapalczywie stary i nawet chciał się przeżegnać, ale, bokiem zerknąwszy na Łopachina, na pierś jego ozdobioną medalem — nie doniósł ręki do czoła, lecz poważnie gładzić zaczął siwą, rozłożystą brodę. — Znaczy się, to wasz oddział ryje tam, za ogrodem, okopy? — zapytał po chwili milczenia.

— Tak jest, ojcze, nasz. Kopiemy, staramy się jak możemy, a tymczasem aż zaschło w gębie... — tu zamilkł dyplomatycznie Łopachin, ale stary, najwidoczniej, nie dopatrzył się przytyku. Wciąż głaskał brodę, spoglądał na folwarczne dziewki, ładujące na wóz bańki i, nagle, wściekle wytrzeszczając oczy, krzyknął donośnie:

— Głaszka, a żeby cię pokręciło, dlaczego kobyły nie ma jeszcze? Czekaj, niech tylko zaczną Niemcy walić z armat, wtedy się zakrzątniecie!

Rosła, tęga dójka, o malinowych ustach i wydatnych piersiach, obrzuciła Łopachina przelotnym wzrokiem i coś szepnęła dziewczętom — te roześmiały się, — a po chwili odpowiedziała powoli:

— Tylko patrzeć jak ją przyprowadzą, Łuka Michajłycz, bądźcie spokojni, zdążycie waszą starą jeszcze przed Donem dopędzić...

Łopachin, nie odrywając oczu, jak oczarowany, zapatrzył się w dójkę i, niby przed słońcem jaskrawym, marszczył twarz. Z widocznym wysiłkiem oderwał wzrok od zdrowo opalonej

twarzy dziewczęcej, westchnął i głosem, nie wiedzieć czemu nagle zachrypniętym, zapytał:

— Jak tam, ojcze, dobrze się żyło w kołchozie do wojny? Odżywieni jesteście, widać, niczego...

— Przyzwoicie żyło się, a jakże, i szkoła, i szpital, i klub i wszystko było co trzeba, że już o żarciu nie wspomnę, wszystkiego dobra po dziurki od nosa było, a teraz, o, trzeba nam cały dobytek zostawiać. Do czego wrócimy? Do zgorzałych zgliszcz, to już jak Bóg w niebie — odrzekł stary żałośnie.

Innym razem może by i współczuł Łopachin cudzemu nieszczęściu, ale teraz nie miał na to czasu, i oto przedsięwziął jeden jeszcze krok, aby nareszcie otworzyć staremu oczy na cel swoich odwiedzin.

— A w studni jakoś woda u was solą zalatuje. Kopiemy okopy, pić się chce niemiłosiernie, a woda poprostu do niczego. Jakże to może być, żebyście nie mieli przyzwoitej wody? — oświadczył z wyrzutem.

— Solą zalatuje? — ze zdziwieniem przerwał stary. — A z jakiej żeście brali studni?

Łopachin nie pił wody w tym futorze, nic dziwnego zatym, że nie miał pojęcia, gdzie się znajduje studnia, machnął więc ręką w sposób nieokreślony w stronę szkoły widocznej za drzewami. Starego jeszcze bardziej to zadziwiło.

— Dziw to prawdziwy! W studni koło szkoły właśnie najpierwszorzędniejsza woda w całej okolicy, do picia czerpie tam wodę cały futor. Co też to może być, że tak nagle zepsiała! Wczoraj jeszcze przynosili stamtąd wodę, czysta, kryniczna, samem probował.

Zapatrzył się w ziemię, rozmyślając, a Łopachin odchrząknął markotnie i powiedział:

— W dodatku, nie pozwalają nam pić surowej wody, wiesz ojciec, a to iżby uniknąć biegunki i innych brzusznych przypadłości.

— Naszą wodę pić można i surową — odparł uparty starzec. — Co rok szorujemy cembrowinę, futor cały pije i jako żywo nikt dotąd na żołądek nie zapadał.

Łopachin wyczerpał wszystkie możliwości, aby delikatnie naprowadzić na właściwą drogę tępy umysł starego, z rezygnacją rąbnął prosto z mostu:

— A nie dałoby się tak u was mleka surowego poprosić, albo trochę masła śmietankowego?

— W tej sprawie, synu, musicie się zwrócić do zarządzającej fermą. O, tam stoi koło dójek, ta jasno-konopiasta, okrąglutka, w szaliku popielatym.

— A wy... jaką tu macie rangę? — zapytał skonfudowany Łopachin.

Staruszek, wciąż gładząc brodę, odparł dumnie:

— Za fornala tu pracuję, będzie już trzeci rok. Pracuję, daj Boże każdemu taką robotę, i sianokosy do mnie należą, i dozór nad obejściem, i w gospodarstwie co potrzeba. Latoś premia mnie się szykowała...

Coś tam jeszcze dowodził, ale Łopachin ze złością klapnął się dłonią po kasku i bezdźwięcznie poruszając ustami, podążył w stronę kobiety, owiniętej w popielaty szalik.

Michaił Szołochow

tłum. S. Sz.

Zeznanie zbrodniarza

Nigdy się zapewne nie dowiem, kto obywatela Stanisława Pazdyka skierował do mnie. Wiem tylko, że zjawił się dnia pewnego w biurze Polskiego Radia z arkuszem papieru w ręku. Pytał o mnie. Skierowano go do odpowiedniego pokoju, gdzie starannie sprawdził, czy jestem tą właśnie osobą, której poszukiwał.

Opowiedział, że wrócił po dłuższej, przeszło rok trwającej, tułaczce do Warszawy, skąd wywieziony został po powstaniu. Mówił o swoim pobycie w obozie Mauthausen-Gusen, o wyzwoleniu przez armię sojuszniczą, o długich staraniach, by jaknajprędzej do domu powrócić, o ciężkiej drodze i dotarciu do Warszawy.

Tu głos jego zadrżał. Umilkł. Nic już więcej nie powiedział. Tylko wyciągnął rękę z rulonem zapisanego papieru i wręczył mi go.

Cóż zresztą miał mówić? Wszystko było przecież jasne.

Rozłożyłam arkusze papieru i przeczytałam. Dużemi literami na samej górze napisane było: **Protokół,** a pod tym **Zeznanie komendanta obozu koncentracyjnego Mauthausen-Gusen SS-Standartsführera, Franciszka Ziereisera.** Spisano w Gusen, w kancelarii byłego Schutzhaftlagerführera, Seidlera w dniu 24-ym maja 1945 roku w czasie od godz. 9-ej do 13-ej.”

— Skąd pan ma to zeznanie! — pytam zdumiona.

— To myśmy sami z kolegą spisali w Gusen, kiedy Ziereiser leżał ranny dwoma strzałami w brzuch i w lewe ramię. Ja go trzymałem i zadawałem pytania, a kolega Leon Królak, także więzień z Mauthausen, spisywał zeznanie słowo po słowie. Na końcu — o widzi pani są podpisy.

Rzeczywiście na końcu dokumentu podpisali się dwaj świadkowie zeznań i sam zeznający.

— Co pan chce, żebym z tym zrobiła? — pytam.

Jest zakłopotany. Niezupełnie wie co odpowiedzieć.

— Może napisze pani o tym do Radia? Pani już zresztą będzie wiedziała co robić, jak przeczyta.

Czytam więc:

„Ja, Franciszek Ziereiser, urodziłem się 13-go lipca 1916 roku w Monachium z ojca urzędnika kolejowego, który padł na wojnie w 1916 roku. Matka moja żyje i zamieszkuje w Monachium. Mam jednego brata — Rudolfa, którzy liczy lat 38 i jest kierownikiem parowozu oraz dwie siostry: Margareta lat 47 i Wilhelmina lat 32.”

Mój Boże, dotąd życiorys jak życiorys. Nic w nim nie ma zastanawiającego. Czytam dalej:

„Służbę wojskową odbyłem w czasie od 1-go kwietnia 1934 roku do września 1936 roku w 19-tym pułku bawarskim w stopniu sierżanta. Jako porucznik opuściłem szeregi wojska i wstąpiłem z dniem 30 listopada do oddziału SS, jako referent wyszkoleniowy w stopniu Obersturmführera, gdzie zostałem przydzielony do 4-tej Standarte w Oranienburgu. W dniu 17 lutego 1939 roku przybyłem do Mauthausen (w stopniu Hauptführera) jako następca poprzedniego komendanta obozu Sauera”.

Trzeba przyznać zdumiewająca kariera. Wprost z wojska do obozu w Oranienburgu, miejsca tortur dla antyhitlerowców-niemców i żydów niemieckich, od razu w randze, która mu dawała wielką nad więźniami władzę. A po trzech latach znowu raptowny awans i nowy obóz karny, najgorszy z istniejących w tym czasie na terenie Niemiec — Mauthausen. Musiał zdradzać nieprzeciętne zbrodnicze instynkty, przejawiać nie lada talent okrucieństwa, aby usprawiedliwić tak niezwykłą karierę. Widocznie sam czuje jej niezwykłość, jeśli zeznając na łożu śmierci — takie daje wyjaśnienie:

„Szybki awans w mojej niezwykłej karierze zawdzięczam temu, że częstokroć zgłaszałem się ochotniczo do służby frontowej, jednak na rozkaz Reichsführera SS Himmlera zmuszony byłem pozostać w Mauthausen”.

Wyjaśnienie istotnie wyczerpujące. Już jeśli sam Himmler uważał, że najwłaściwszym miejscem jest Mauthasen, a pracą kierownictwo nad miejscem kaźni, musiał Ziereiser być nieprzeciętnym okrutnikiem i sadystą.

A jaką miał władzę wykazują następne słowa zeznania:

„Załoga SS w obozie koncentracyjnym w Mauthausen wypadała: jeden człowiek załogi SS na 10-ciu więźniów. Najwyższa liczba więźniów w obozie w Mauthausen wynosiła 17 ty-

sięcy osób nie licząc bocznych obozów. Najwyższa liczba więźniów w obozach mi podległych (w liczbie 23) wynosiła 76.000, co stanowiło około 95.000. Liczba zmarłych w tych obozach przekroczyła 65.000 osób".

To już nawet nie wymaga komentarza. Na 95 tysięcy więźniów, znajdujących się pod władzą zeznającego — przeszło 65 tysięcy osób zginęło. Ta spokojnie podana statystyka obozu stanowi przyznanie się zbrodniarza do zamordowania przeszło 65 tysięcy ludzi. Ale umierający przestępca nie zdaje sobie z tego zupełnie sprawy, i w dalszym ciągu podaje szczegółowe dane dotyczące obozu w Mauthausen.

„Załoga SS składała się z początku z 4-ch do 5-ciu tysięcy ludzi z tak zwanych Totenkopführerbande, dzieląc się na oddziały wartownicze i sztab komendantury. Reszta, ponad 6.000 osób, była przydzielona z wojska z Wehrmachtu, przemundurowana w mundury SS oraz z licznych grup Volksdeutschów. Wciągnięto również do załogi SS więźniów z Mauthausen i Gusen w liczbie 45 osób".

Poczem daje wyjaśnienie.

„Odbyło się to, na wyraźne żądanie Reichsführera Himmlera. Więźniowie przeznaczeni byli do walki frontowej, szczególnie przeciw Rosjanom. Zaciąg odbył się ochotniczo, a resztę zmusili do wstąpienia w szeregi SS poszczególni kierownicy obozów bez mojej wiedzy".

I odrazu przeskakuje na inny temat.

„Rozkaz spalenia wszelkich dokumentów poleciłem wykonać w ostatnich dniach miesiąca kwietnia i z początkiem miesiąca maja 1945 roku. Polecenie to otrzymałem od Amtu D. w Berlinie, wydane przez SS Gruppenführera Himmlera".

Nazwisko Himmlera kieruje jego umysł na inne tory i, przeskakując znowu na inny temat, zeznaje:

„Podczas mej obecności w Mauthausen sam Himmler nałożył na barki więźnia kamień 45 kg, wskazując w ten sposób jak należy wykańczać ludzi. Karne kompanie nakazane były przez Berlin dla szybkiego mordowania ciężką pracą".

Po czym wyrywa mu się wyznanie:

„Każdorazowo brałem udział osobiście w egzekucjach. W roku 1940 odbyła się masowa egzekucja 320 Polaków, pochodzących z Warszawy na rozkaz Heidricha. Niejednokrotnie sam strzelałem do więźniów, bo Volksdeutsche źle strzelali z broni małokalibrowej. Wprowadzonych więźniów zabijano znienacka przez tak zwany Genückschuss. Na rozkaz doktora Schulauera i doktora Renaulta wysłano do Hersheim koło Linzu niepoprawnych zawodowych przestępców", przeskakuje znowu

Ziereiser na inny temat — **„jako umysłowo chorych, których następnie niszczono specjalnym wynalazkiem doktora Kreodschacha”.**

I znowu wracając do spraw obozu Mauthausen stwierdza zeznający:

„Większość zamordowanych więźniów z pierwszych kilku tysięcy zamordował Bachmayer w Mauthausen. Tak samo, a nawet więcej wymordował Seidler w Gusen I-ym i II-im”.

Oczy moje przyciąga w zeznaniu nazwisko polskie. Wyliczając w dalszym ciągu arcymorderców z obozu, Ziereiser zeznaje:

„Chmielewski i Seidler kazali sobie w Gusen garbować specjalną skórkę ludzką z oryginalnymi tatuażami. W ludzką skórę kazali sobie oprawiać książki, robić torebki i abażury do lamp. Dla siebie nie kazałem nigdy czegoś podobnego wykonywać, co zresztą później zostało przez Berlin zakazane. Chmielewski w Gusen zamordował kilka tysięcy ludzi. W jego pijackich wybrykach nie brałem nigdy udziału. Mnie nie można pociągać do odpowiedzialności za zamordowanie ludzi, gdyż każdorazowo przychodziły rozkazy z Berlina dla poszczególnych kierowników obozów”.

Ach więc tylko o odpowiedzialność chodzi Ziereiserowi! Nawet na łożu śmierci jedynym jego uczuciem jest strach, pragnienie ucieczki przed odpowiedzialnością za popełnione zbrodnie. Wprawdzie zeznawał przed chwilą, że niejednokrotnie sam strzelał do więźniów, „bo Volksdeutsche źle strzelali z broni małokalibrowej” — ale do odpowiedzialności za to nie powinien być pociągnięty, bo przecież „każdorazowo przychodziły rozkazy z Berlina”.

I widać, że strach przed odpowiedzialnością dyktuje mu ostatnią część zeznań. Poprostu trudno zrozumieć o co mu chodzi:

„Akcjonariuszem D.E.S.I. nie byłem”, a więc można było być akcjonariuszem obozu i ciągnąć zyski z prac wykonywanych przez więźniów? — Oto zupełnie nowe światło w jakim ukazują się hitlerowcy, nowe, realne powody mordowania ludzi pracą nad siły. Poprostu chodziło im o pieniądze, o większe zarobki. A Ziereiser twierdzi, że takim akcjonariuszem nie był i zeznaje dalej: **„Tylko z tytułu pełnienia stanowiska otrzymywałem 300 Rm. miesięcznie. Jako komendant lagru otrzymywałem 600 Reichsmarek miesięcznie, innych dochodów nie miałem”.** Zdumienie budzą następne zdania i błahością tematu, i naiwnością z jaką sądzi, że przemawia na swoją korzyść: **„Dzierżawa terenu do polowania nie kosztowała mnie nic, gdyż**

teren ten przydzielił mi pewien starosta. Posiadanie awionetki nie kosztowało mnie również nic".

Awionetki! Nie byle kim musiał być Ziereiser, jeśli miał do rozporządzenia własną awionetkę.

Dalsze zeznania obnażają wyraźnie cel — chęć ucieczki od odpowiedzialności za popełnione zbrodnie, chęć wybielania siebie i swojej rodziny. I tak Ziereiser zeznaje:

„Otrzymałem rozkaz zniszczenia wszystkich w Gusen I i II w tunelach „Horberbau" oraz częściowo „Bergkristall" przez wysadzenie w powietrze w wypadku zbliżenia się Rosjan; na wypadek nadejścia Amerykanów więźniowie mieli być zwolnieni. Gruppenführer Pohl wydał w lutym r. b. rozkaz wyprowadzenia wszystkich więźniów z obozów do lasu, celem wymordowania ich w różny sposób na wypadek przegrania wojny. Rozkazami tymi przejęła się strasznie moja żona i gwałtownie wpływała na mnie tak, że ignorowałem Berlin i nie kwapiłem się z wykonaniem rozkazów. Uznałem rozkazy te za najwyższą głupotę, co kosztowało mnie dużo nerwów. Mauthausen był ostatnim obozem, do którego transportowano czyli ewakuowano liczne transporty z wszystkich obozów, zwłaszcza z Oświęcimia, Buchenwaldu, Dachau itp. Przysyłano tysiącami nieoczekiwane transporty kobiet, dzieci i mężczyzn, dla których nie starczało żywności. Na moje zwrócenie się do Berlina, ażeby zaradzić tym okrucieństwom, zakazano mi na ogół zwracać się z krytykowaniem. W każdym transporcie było 600 do 800 zmarłych. Wielu w czasie drogi wyrzucano. Z Dachau wyszedł na 8 dni przed końcem wojny transport 4.800 więźniów, z liczby tej przybyło zaledwie 180, a reszta zagłodzona, albo została zastrzelona z powodu usiłowania ucieczki. Transport zaopatrzony był w żywność na 1 dzień. W ostatnich dniach Bachmager zamordował więźniów zatrudnionych w krematorium Mauthausen-Gusen". W dalszym ciągu Ziereiser wymienia wiele nazwisk wysokich osobistości SS, między innymi Gauleitera Oberdonau — Eigrubera, wskazując na przypuszczalne miejsce jego pobytu. **„Himmlera spotkałem ostatnio na odprawie w Wiedniu przed 6—8 tygodniami. Przypuszczalnie znajduje się on w Czechach w dobrym ukryciu. Na moje osobiste zapytanie, czy zdaje sobie sprawę z przegranej, odpowiedział twierdząco".**

Mylił się jak widzimy co do losów Himmlera wierny jego i posłuszny towarzysz krwawej pracy. Chociaż w ostatnim zdaniu swoich zeznań wypiera się swych niedawnych panów i władców, których rozkazy bez żadnych zastrzeżeń wykonywał przez 6 lat, jako oprawca w Mauthausen-Gusen. Zeznanie kończy słowami:

„Widzę teraz jakiego zniszczenia dokonał na 80-ciu milionach Niemców jeden człowiek — Hitler, do czego doprowadziła najwyższa podłość Himmlera oraz osobistości SS z Berlina z Pohlem na czele".

Na tym zeznanie zakończono z powodu osłabienia i trudności w mówieniu zeznającego. Ziereiser zeznawał, leżąc na łóżku, ranny dwoma strzałami w brzuch oraz lewe ramię.

Spisał były więzień — **Leon Królak**
Świadek zeznania — **Stanisław Pazdyk.**

Gusen, dnia 24 maja 1945 r.

Należności za „Lewy Tor" należy wpłacać do K.K.O.
Warszawa, Al. Jerozolimskie 41, Nr konta 178.

Nr 575 — Graf. Spółdz. Pracy „Grochów", Grochowska 194. — B-09499